Numer 35. Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 26 Sierpnia 1928**



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Przyjaciółki.

— Kochany chłopiec z tego Adasia, powiedział mi, że z każdym dniem wydaję mu się piękniejszą.

— Tak, bardzo sympatyczny; ale godzien współczucia: wczoraj zwierzył mi się, że grozi mu ślepota, z każdym dniem widzi coraz gorzej.



Pokrewieństwo.

— Czy ten pan jest twym krewnym?

— Tylko częściowo: jest to trzeci mąż drugiej żony mego pierwszego męża.



Wpadunek.

— Czegoś taki zmartwiony?

— Widzisz, wygrałem w loterji fantowej pudełko cygar. Oczywiście były strasznie kiepskie. Sprzedałem je natychmiast w pierwszym składzie tabacznym za 5 złotych.

— No to powinieneś się cieszyć!

— Wyobraź sobie: żona moja kupiła je za 10 złotych dla mnie na imieniny.

Z monologu pijaka.

— Kiepska sprawa: kiedy piję, nie mogę pracować. Będzie trzeba chyba dać za wygraną i przestać pracować.



Roztargniony profesor.

Profesor poszedł z żoną na koncert. W drodze powrotnej z dumą pokazuje żonie dwa parasole.

— Patrz! Mówisz, że jestem zawsze roztargniony, a przecież pamiętałem nie tylko o swoim parasolu, ale i o twoim!

— Człowieku — mówi żona z przerażeniem — przecież na koncert poszliśmy bez parasoli!

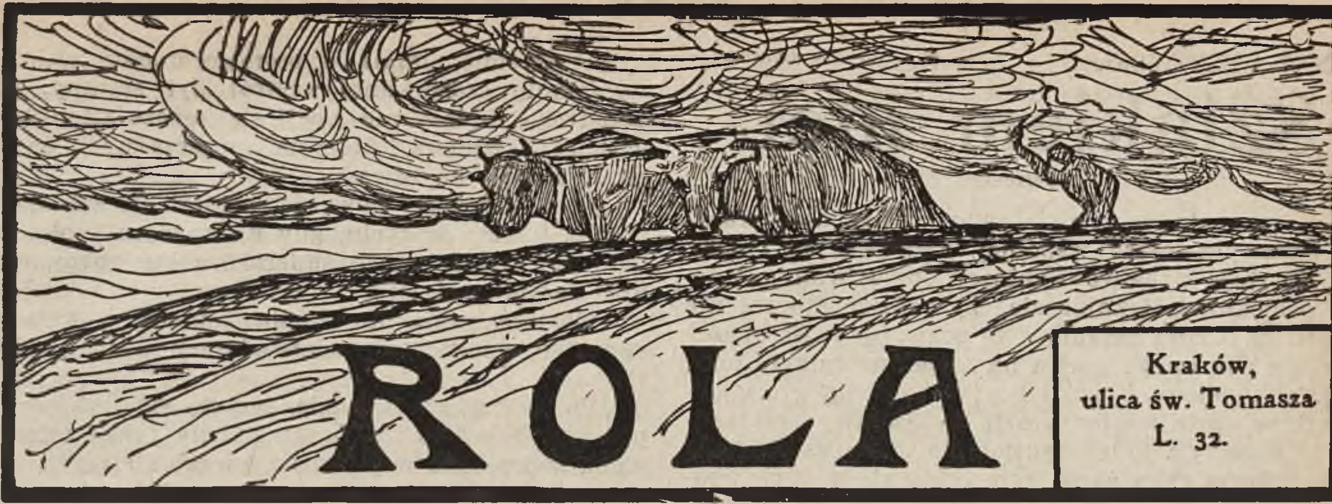


Pobożne życzenie.

— Sąsiad nasz cały dzień spędza w knajpie. Ty, mój drogi mężu, Bogu powinieneś dziękować, że nie ożeniłeś się tak nieszczęśliwie jak on!

— No wiesz, czasami to jednak chciałbym być też tak trochę nieszczęśliwym, moja najdroższa!

Numer 35. **Rok XI.** **Kraków, dnia 26 Sierpnia 1928.**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Kłamstwo.

Prawda jest tylko jedna, gdyż inaczej nie byłaby prawdą. W przeciwstawieniu do prawdy jest kłamstwo, które jest wymysłem szatana i bronią piekła. A jednak mało ludzi hołduje prawdzie, przeciwnie większa część schlebia kłamstwu.

Kobieta mianowicie winna być wyrazem prawdy, nie powinna swojem postępowaniem potwierdzać zarzutów, jakie jej czynią, że pierwsze słowo u kobiety po śmierci męża jest kłamstwem, bo zarzeka się, że za mąż powtórnie nie pójdzie, ale niech się tylko kto zjawi, zaraz rękę mu odda.

Ponieważ kłamstwo jest jedną z najbrzydszych wad człowieka, przeto trzeba je od pierwszego zarania życia tępić. Jest to obowiązkiem przedewszystkiem matki, aby jej dziecię nie pokochało kłamstwa, bo w czem kto raz zasmakuje, temu potem chętnie schlebia i to staje się drugą jego naturą. Skoro tylko matka spostrzeże, że dziecię jej kłamie, a nieraz winę zwala na drugich niewinnych, powinna starać się wadę tę u niego wykorzenić jak najprędzej. Nie należy tutaj jednak przystępować do rzeczy z gniewem i złością, lecz trzeba przemawiać do dziecka spokojnie, rozumnie z rozwagą i miłością w oku. Trzeba mu mówić o jego szlachetności i jego zaletach przyrodzonych, aby wzmocnione na duchu dziecko z wesołem okiem i swobodą wzrastało w tem, co jest piękne i co nazywamy cnotą. Skoro to, co my nazywamy wielkiem i szlachetnem, rozgości się w duszy dziecka, wtenczas to, co nazywamy brzydkiem i pogardy godnem, nie będzie miało w niej miejsca.

Pomiędzy pięknemi kwiatami i pszenicą rośnie też zielsko i kąkol, które wyrywamy przemocą i odrzucamy na stronę. Z dziecka błędów i wad jednakże przemocą wywabiać nie można, gdyż są one zanadto niejednokrotnie z niem zrośnięte. Przystępujmy przeto ostrożnie do dzieła, aby gniewem i drażnieniem nie powiększać złego. Przez walki i bezustanne łajania sprawiamy kłopot nietylko dziecku, ale także i samym sobie.

Dobre dziecko, gdy w bliskiej pozostaje styczności z osobą lub dzieckiem kłamliwem, jadowitem, przejmuje się jego złością i jadem. Jedna parszywa owca zaraża drugie, odrobina kwasu zakwasza całe ciasto, jedno zgniłe jabłko zaraża drugie zgnilizną, jeden kamień toczący się z góry inne za sobą pociąga, jedna kłamliwa osoba, lub jedno kłamliwe dziecko zaraża inne kłamstwem.

Strzeżmy więc naszych maluczkich, aby nie upodobały sobie w kłamstwie, bacząc na to, że prawdziwie szlachetny człowiek brzydzi się kłamstwem, które jest tylko właściwością charakterów podłych i pospolitych.

Do tego wiemy z przekonania, że kto raz skłamie, temu ludzie już więcej nie wierzą, chociażby i prawdę mówił. A jakże często Pan Bóg karze kłamstwo na miejscu. Niech na to posłuży jako przykład zdarzenie z czasów Kazimierza Wielkiego. Kiedy panował w kraju głód, zakonnicy w Oliwie, o milę od Gdańska, zasilali codziennie chlebem ubogich. Razu pewnego uboga kobieta z wynędzniałem od głodu dzieckiem na ręku spotkała człowieka, wracającego z Oliwy i błagała go o jakie posilenie dla dziecięcia. Nielitościwy człowiek odpowiedział, że nie ma ani kawałka chleba przy duszy. „A cóż niesiesz pod płaszczem?" — zapytała kobieta. „To kamień!" — odrzekł ów człowiek, chociaż miał rzeczywiście chleb. „Niechże więc będzie i kamień!" — zawołała niewiasta. Gdy ów człowiek wrócił do domu i sięgnął po chleb, przeraził się niemało, gdyż zamiast chleba wydobył z pod płaszcza kamień.

DONAT LESIOWSKI.

Szlakiem idei.

Powieść.

Po skończonej przez Gustawa opowieści, Marysia poruszyła temat wspólnej wędrówki do Polski.

Na razie państwo Rybińscy sprzeciwiali się temu projektowi, lękając się, by rodzice Marysi nie czynili im kiedyś zarzutów, że pozwolili pójść dziewczynie z pod swego dachu na niepewne tułacze losy. Lecz gdy Marysia przedstawiła im całą grozę sytuacji, w razie gdyby weszli do Siniawy bolszewicy, i zaznaczyła kategorycznie, że wówczas odbierze sobie własną ręką życie, nim odda się w ręce wroga, państwo Rybińscy znając niezłomny jej charakter, byli pewni, że dziewczyna mówi prawdę. A gdy do prośby Marysi przyłączył się jeszcze i Kazimierz, by wraz ze wszystkiemi mógł i on iść do ukochanej Polski, wówczas państwo Rybińscy zaczęli ulegać powoli prośbom, bo wiedzieli sami jaki los czekałby młodych od bolszewików. A że sami też byli dobrymi Polakami, i niedawno dopiero zamieszkałemi na Ukrainie, powzięli więc myśl powrotu do kraju, lecz w czasie zimy nie mieli odwagi przyłączać się do podróżujących, obiecując jednak niedługo już pozostawać w Siniawie.

Po krótkiej więc jeszcze dyskusji, zgodzili się, by Marysia i Kazimierz, przyłączyli się do idącego obozu, ufając, że pod opieką Gustawa i innych Polaków, nic się nie stanie złego odważnej dziewczynie.

Dali też adres do krewnych, zamieszkałych w Warszawie, do których po przyjeździe do Polski, mieli się udać młodzi ludzie.

Stanęło więc na tem, że na drugi dzień rano udadzą się wszyscy troje do obozu, gdzie Gustaw zapozna młodych ludzi z towarzyszami podróży, a potem około południa wyruszą wraz ze wszystkiemi w drogę, gdyż tak było w obozie postanowione, że pół dnia wypoczną, by uczcić dzień Bożego Narodzenia.

Gustaw też został na noc zatrzymany przez uprzejmych gospodarzy, i około północy, po odśpiewaniu razem polskiej kolendy, udali się wszyscy na spoczynek.

Na drugi dzień zaraz po śniadaniu, młodzi ludzie wybrawszy się podążyli do obozu, a wraz z niemi poszedł i pan Rybiński, ciekaw zobaczyć i poznać bliżej tych ludzi, tórzy mieli być towarzyszami jego syna i Marysi.

Po przybyciu do hotelu, spotkali zaraz na wstępie pana Winawskiego, któremu Gustaw przedstawił gości, oznajmiając, iż narzeczona jego i kuzyn, pragną się przyłączyć do wspólnego grona wędrowców.

Pan Winiawski był oczarowany pięknością dziewczyny i zapałem jaki tryskał z każdego jej słowa. Chętnie też przyrzekł opiekę młodym, zapewniając pana Rybińskiego, że dokąd on żyć będzie, młodym ludziom nic złego się nie stanie.

Pan Rybiński zaprosił pana Winiawskiego do siebie na obiad, po którym mieli wszyscy z powrotem przyjechać małemi sankami, jakie pan Rybiński ofiarował młodym, by mogli wygodniej przebrnąć ukraińskie śniegi.

Po zapoznaniu się jeszcze z gronem wędrowców, udali się wszyscy na pożegnalny obiad do państwa Rybińskich.

Przy stole, mimo wybornego miodu jakim się wzajemnie częstowano, nastrój był smutny, gdyż państwo Rybińscy nie mogli się jeszcze z tem pogodzić, że Kazimierz i Marysia opuszczają ich na długo, a może i na zawsze...

Bo i któż mógł wówczas zaręczyć, że zobaczą się z sobą jeszcze w życiu, gdy na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo śmierci... a ku lepszemu nie było żadnej nadziei?

Marysia jedna nie traciła humoru i srebrnym swym śmiechem rozweselała ponury nastrój rodzeństwa.

Po skończnym obiedzie, zaczęto się szykować do podróży. Wkrótce też sanki stanęły przed mieszkaniem, zaprzężone w pięknego karego stepowca, a na sankach pani domu przy pomocy służącej, umieszczała rozmaite tłumoczki, zawierające ubranie i żywność dla odjeżdżających.

Nastąpiła wreszcie nieunikniona chwila pożegnania...

Pani Rybińska płakała, tuląc w objęciach kolejno troje młodych, a poleciwszy ich opiece Boga, zwróciła się do pana Winiawskiego,, prosząc go o opiekę nad niemi. Pan Winiawski ucałowawszy ręce zacnej niewiasty, przyrzekł jeszcze raz opiekować się wszystkiemi jakby własnemi dziećmi.

Po serdecznych uściskach i pocałunkach usiedli wszyscy na sankach, a Kazimierz wziąwszy lejce od usługującego chłopca, ruszył z miejsca galopem, kierując sanki po puchowym śniegu, ku budynkom cukrowni, skąd mieli wspólnie wyruszyć w nową dla nich nieznaną podróż.

VII.

Całe grono brnęło znowu naprzód po głębokich zaspach śniegowych, a Marysia i jej towarzysz szli pieszo razem ze wszystkimi, gdyż dzielna dziewczyna nie chciała się niczem wyróżniać od towarzyszek podróży. Sanki zaś oddali na użytek tym, co długą podróżą zmęczeni nie mogli już dalej podążać pieszo.

Skupieni około wozów wędrowcy, posuwali się wolno, tworząc niby fantastyczny orszak, prowadzący z sobą jakiś tajemniczy skarb...

A był tam między niemi istotnie skarb wielki, bo zaklęty skarb duszy polskiej, którego strzeżono, by w całości złożyć u granic polskiej ziemi.

Pod wieczór zbliżano się do pewnego folwarku, gdy nagle oczom wędrowców przedstawił się straszny widok, który swą grozą zmroził krew w żyłach nawet u ludzi najodważniejszych.

Na drodze prowadzącej ku folwarkowi, leżało siedem ciał ludzkich obdartych z szat, które zaskrzepłemi ranami świadczyły o bestjalskim mordzie włóczących się bolszewickich band, których wówczas było na Ukrainie bez liczby.

Między pomordowanemi ofiarami było sześciu mężczyzn i jedna młoda kobieta.

Gdy patrzono na te bezbronne ofiary okropnego mordu, w sercach żyjących powstawał bunt przeciw bezprawiu, przeciw tym co przelewali krew i łzy całej Ukrainy...

A drogami krwawej rewolucji szły wciąż tłumy, złożone z ludzi bezkrytycznych lub bez serc... a poza niemi snuły się koszmary ich okrutnych czynów, gwałtów i mordów w imię wolności... i plamiły szatę przyszłych pokoleń ludzkości, wbijając cierń potępienia w duszę samej onej zbrodniczej masy.

Ciemno już było gdy podróżni rozlokowali się w niewielkim domku folwarcznym, który stał pust-

ką, gdyż właściciel wyjechał już dawno, opuszczając majątek, by uratować tylko swe życie.

Część zabudowań leżała w gruzach, jak i wszędzie, a reszta budynków świeciła pustką, w których mieścił się kto tylko chciał.

Po rozlokowaniu się w pokojach domku, podróżni zaczęli się wypytywać miejscowej ludności o powód zamordowanych ofiar, leżących na drodze. Dowiedziano się też, że byli to mieszkańcy tej wsi, a zabił ich w nocy jakiś patrol pijanego żołdactwa, co niewiadomo skąd przyszli i gdzie odeszli, pozostawiwszy po sobie krwawego mordu ślad.

Rozpaliwszy ogień w piecach, część podróżnych zgromadziła się w pokoju gdzie stał fortepian, trafem jakimś ocalały od zniszczenia. I gdy kobiety i kilku mężczyzn zajęci byli w kuchni gotowaniem kolacji, Gustaw z Kazimierzem i innymi kolegami zaśpiewali kilka piosenek przy akompanjamencie fortepianu. I choć groza śmierci zaglądała im w oczy, nie poddawali się jej, lekceważąc sobie wszelkie niebezpieczeństwa, połączeni wspólną ideą. Dodawali sobie wzajemnie odwagi i rozpraszali smutek wesołą piosenką.

Przy kolacji, jak zwykle, potoczyły się gawędy, opowiadania i legendy, zaczerpnięte z własnych przeżyć i z podań ludowych. A potem ułożono się do snu na przyniesionej od wieśniaków słomie, aby znowu nazajutrz rozpocząć dalszy ciąg wędrówki.

Gdy ranek zaświtał ruszyli do Turbowa. Droga była przysypana świeżym śniegiem, a z odległej dali wśród ciszy poranku, płynęła echem kanonada armat, grających gdzieś pod Berdyczowem lub Winnicą.

Wszyscy niemal jechali teraz na wozach z powodu przemęczenia i niebezpieczeństwa, gdyż śmierć zaglądała władczo w oczy każdego: ukryta za tajemniczą ścianą przeznaczenia, wychylała często swoje nagie kości i groziła młodym śmiałkom idącym na przełaj poprzez drogi zasłane jej ofiarami.

Do Turbowa przybyli bardzo prędko, zdala pod cukrownią zauważyli patrol na koniach i moc furmanek uwożących worki z cukrem. Patrol był z armji Szepela, który zatrzymał ich, wylegitymował, a potem ruszył dalej, opuszczając Turbów

Stali czas jakiś pod cukrownią, a gdy mrok wieczorny zaczął spowijać w smutną szarość wszystko dokoła, wjechali do wnętrza cukrowni.

Wewnątrz panowała wielka cisza, tylko gdzieniegdzie słychać było gwizdki stróżów, dające znaki życia i czynności. Bramy stały pootwierane, u magazynów poodbijane rygle, a przed drzwiami porozsypywany cukier zmieszany był razem ze śniegiem.

Podróżni chcieli się rozlokować w budynkach biura, lecz tu ich spotkał starszy robociarz, oznajmiając, iż w budynkach biura nie mogą stanąć, gdyż przeciw temu protestuje związek robotników cukrowni.

Dobrze już się ściemniło, gdy przy pomocy poczciwych ludzi rozlokowali się u mieszkańców przy fabryce, po dwie lub trzy osoby w jednem mieszkaniu.

O pięć kilometrów od osady byli bolszewicy, wszechwładnie tam panując, i lada chwila mogli wejść do bliskiej bezbronnej osady.

Dla bezpieczeństwa też, pan Winiawski wyznaczył kolejno dyżury w polu poza osadą, czyli że postawiono placówkę po trzech na zmianę, by w razie marszu tubylca-wroga na osadę, wcześniej można było zająć stanowisko obronne, lub uciekać w stronę przeciwną.

Gustaw znalazł się w pierwszej kolei i wraz z dwoma kolegami udał się w pole poza osadę.

Uzbrojeni w karabiny stanęli na niewielkim pagórku, z którego obserwować można było przestrzeń, aż do widniejącego hen lasu.

W lesie tym stały ciężkie działa bolszewickie skierowane na Winnicę, a obok paliły się ogniska, przy których grzejąc się, siedzieli bolszewicy w wielkich baranich czapkach, i z zapamiętaniem grali w rozłożone karty. Pośrodku leżały stosy pieniędzy i złota, a przed każdym stała butelka z wódką, z której często popijał dla lepszego rozgrzania się i humoru.

Dalej znów grała harmonijka skoczne melodje, i inna grupa bolszewików tańczyła z kilkoma dziewczętami, wykrzykując głośno: Ha ha!

Z pagórka, na którym stała polska placówka, widać było ogniska i ruch rozbawionego żołdactwa, a dzikie krzyki płynące wśród stepowej ciszy, dochodziły jak zgrzyt ironji, do uszu polskich tułaczy.

Gustaw stał zadumany, śledząc, to ruch rozhulanej hołoty, to bezgraniczną srebrzystą dal, błyszczącą w migotliwem świetle rozsianych na błękicie gwiazd... I oto ponad łunami płonących ognisk, w brylantowych gwiezdnych odbłyskach, ujrzał znowu, jak we śnie, jasną zjawę Polski...

Wpatrzony w swą wizję, stał długo jak posąg bez ruchu, aż go zbudził z zadumy głośny krzyk płynący od lasu, co się roznosił po stepie w szaleństwie dzikich żądz... wybuchając chwilami piekielną klątwą nienawiści, to znowu bolesnym jękiem rozpaczliwego dramatu, rozgrywającego się w pośród cichych ukraińskich stepów.

Dwa niezrównane kontrasty szamotały się z sobą, wibrujące między przestrzenią gwiazd... a ziemią.

Z rozmarzonego błękitu niebios snuły się ciche wiekowe dumy, i melodją ponadziemskiego rozmodlenia spływały do ludzkich stęsknionych serc...

A z ziemi... tuman zgęszczony nienawiścią, zatruty jadem krwawych żądz, podnosił się i zgrzytem piekielnej wrzawy, mącił ciszę świętego dumania.

Po dwóch godzinach zmieniono Gustawa i kolegów, a trzej inni uzbrojeni zajęli stanowisko, wysłuchawszy od Gustawa wyjaśnień, co do stanu okolicznej sytuacji.

Całą noc kolejno zmieniały się polskie placówki, lecz bolszewicy nie wychodzili z lasu, i po wyprawionych orgjach zaległa naokoło głucha cisza.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Srebrzyste żyta...

Srebrzyste żyta, złociste pszenice
Legły pod sierpem pracownych żniwiarzy
I stoją teraz — złożone w kopice
Podobne zdala do rozstawnych straży.

Stoją — lecz trzeba zwieźć je do stodoły,
Lub złożyć w stogi, przed deszczem uchronić,
Zaprzęgać konie i pracowne woły,
By z niebios daru ziarnka nie uronić!

Tej pracy ludu błogosław o Panie!
Broń chat od gromów niosących pożary!
Pola i plony — weźmij w posiadanie,
Oto Cię prosi, względem Cię „proch szary".

Z całego serca dziękując za zbiory
Wnijść wnet mające do jego komory,
Więc przyjm te dzięki złożone w pokorze
Dla Ciebie w dani, Chryste Panie Boże!

Stan. Pasterczyk.

Zośka.

Był wieczór letni.

Po niebie przewalały się chmury, przesłaniając od czasu do czasu księżyc. Wiatr wschodni dął od strony morza.

W przystani migotały światła latarni, zawieszonych na masztach okrętów. Czerwone i zielone smugi światła drgały wężowemi skrętami na niespokojnych falach, bełkocących swoją pieśń przypływu, tajemniczą, dziwnie przejmującą, jak oddech globu, niezgłębioną i w rytmice swojej cichej potężną.

Na pokładach parowców, stojących ze spuszczonemi kotwicami, oświetlonych skąpo, brzmiały smętne, monotonne śpiewy marynarzy. Echa pieśni czołgały się po falach, łączyły z jękliwymi poszumami wody, bijącej o cementowe molo portu, i konały u brzegu.

Chwilami, gdy światło księżyca przedarło strzępy chmur i srebrzyło swoim blachmanem fale, potworne, czarne cielska olbrzymich okrętów transatlantyckich odcinały się fantastycznemi sylwetkami, czyniąc wrażenie zjaw niesamowitych i groźnych, łypiących różnokolorowemi ślepiami swoich latarń i małych okienek okrągłych.

Leniwie płynęły opary wód, zmieszane z dymami, dobywającymi się z olbrzymich kominów okrętowych, i jak brudne welony przesłaniały wyrazistsze kontury budowli portowych.

Wybrzeże portu, kryjąc się na czarnych plamach cieni, rzucanych przez budowle szła kobieta, otulona w chustkę. Chwiejnym krokiem posuwała się lękliwie ku wodzie. Na samym skraju obmurowania portowego przystanęła. Oparła się o słup, służący do przywiązywania okrętów, i nagle wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Urywane przez płacz słowa padały w próżnię, jak ciężkie kamienie w głęboką wodę.

— Oj, doloż moja dolo! Oj, ty okrutna tęsknico włóczęgi... W tej strasznej obcości, bez Boga, bez swoich... Tak marnie, marnie...

Morze bełkotało swarliwie, bijąc brudnemi falami o kamienne mury brzegu.

— W tej obcości nikt mi ręki nie poda. Pocóżem tu przyjechała? Ojciec pomarli i matula w kraju, u swoich, a mnie za szczęściem pognało w obcość, na głód, na hańbę, na potępienie wieczne... Jezu! Jezu!

Kraciasta chustka opadła z głowy polskiej emigrantki, która ginęła na nowojorskim bruku w nędzy i rozpaczy. Była jeszcze młoda, ale głód i nędza wyżarły z jej twarzy całą krasę. Zapadłe głęboko oczy świeciły niezdrowym ogniem.

Doleciały ją jakieś rzewne śpiewy marynarzy.

— Śpiewają jako i w mojej wsi...

Przypomniała się Zośce wieś rodzinna, kujawska, i śpiewy wieczorne, majowe, przy tej kapliczce Najświętszej Panienki przy drodze, gdy z pastwisk nad strugą płynęły piosenki pastusze i radosne nawoływania...

Zasłuchała się Zośka w muzykę morza i zdaje jej się, że to wieś rodzinna gra i woła na nią:

— Zośka... Zośka... wróć! Albo ci źle z nami było? Albo cię kto wypędzał?

Coś się w jej biednej duszy zamąciło:

— A ino, ktoś mnie woła — szepnęła nieprzytomnie...

Długie odbłyski latarń sunęły po falach ku brzegowi. Zośce się zdawało, że to ku niej ktoś wyciąga świetlane, miękkie ręce, aby ją utulić. Wiatr łopotał jej dziurawą spódniczyną, zerwał z głowy chustkę, rozplątał włosy płowe i szeptał szyderczo:

— Zośka... ty już nie wrócisz do swoich...

— Kto ci powiedział, kto? — pytała nieprzytomnie.

— Poco chcesz wrócić?

— Do swoich... do swoich...

Teraz woda bełkotała zjadliwie:

— Jakże wrócisz? W twojej chałupie wróg siedzi... Jakże wrócisz?

— Prawda — jęknęła dziewczyna — jakże wrócę?...

Śpiewy marynarzy ozwały się silniej. Z harmonji głosów oderwał się jeden, silny, metaliczny, przejmujący, jakiś dziwnie bliski i swojski.

Zośko słuchała.

— To po naszemu, to po polsku ktoś śpiewa...

A pieśń marynarza polskiego płynęła coraz wyraźniej:

Hej, dziewczyno, dziewczyno,
Moje sto tysięcy —
Całowałem usta twe
Razy może więcej.
Całowałem jasne oczy
W pożegnania męce.
A dziś pławię serce młode
W tej tęsknej udręce.
Ciągle mi się Polska śni
I moje kochanie —
Na pociechę po tobie
Mam dzisiaj płakanie.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Zośczyną piersią zatargał szloch.

— Po naszemu... po polsku... to do mnie...

Nagle wyciągnęła przed siebie ręce, przegięła się całem ciałem nad wodę, jakby chciała ten śpiew pochwycić i do piersi przygarnąć... Jakieś rozigrane resztki tonów plątały się po falach, jękliwe i smutne... Na Zośkę ktoś zawołał:

— Zośka! Chodź!...

— Idę, juści, że idę... Do swoich idę, abyś se wiedziała wodo...

Zatoczyła się, jak pijana, i całem ciałem runęła w wodę...

Na wybrzeżu światła poczęły gasnąć. Ostatnie odbłyski latarń długiemi mackami snuły się chwilę po łagodnych pierścieniach wody, zamykającej w swojej topieli Zośkę.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień rano motorowa łódź policyjna wyłowiła w porcie nowojorskim zwłoki młodej kobiety. Trupa umieszczono na mordze. Pisma podały w kronice wiadomość, że w ubiegłej nocy popełniła w porcie samobójstwo młoda kobieta, emigrantka, prawdopodobnie Polka, gdyż znaleziono przy niej, za stanikiem, polską książeczkę do nabożeństwa z podpisem: Zofja Lechówna. *J. W. Przewłocki.*

Myśli.

Pc całonocnej hulance, po skończonym balu
Po straconym zdrowiu, groszu, zostaje garść żalu.

✡

Pies instynktem wrodzonym wie, służyć ma komu,
I czy to dniem czy nocą, strzeże pana domu.

Piotr Wenc.

NAJAZD BARBARZYŃCÓW.



Wędrówki ludów odbywają się od wieków. Gdy komu w swojej ojczyźnie niedobrze, szuka w obcych stronach lepszej doli. Dziś pojedynczo i po kilku udają się ludzie w obce strony, aby tam znaleźć pracę i polepszyć swój byt, Jadą więc ludziska do Francji, za morze do Ameryki, Kanady, Brazylji. Ale jazda dzisiejsza bezpieczna i wygodna. Siada się do wozu kolejowego lub na okręt i jedzie się, gdzie kto chce,

Przed wiekami było inaczej. Gdy jakiemuś narodowi było źle na ojczystej ziemi, zbierał wszystko, co miał, i szedł w inne strony szukać lepszych warunków. Jeżeli natrafił na ziemie niezamieszkane, jak to zrobił Lech, Czech i Rus z swoim orszakiem, to osiedlał się bez kłopotu i prowadził dalszy żywot na nowej ziemi. Inaczej atoli było, gdy najeźdźcy naszli ziemię zamieszkałą. Siłą wypierali tubylców i ich siedziby zajmowali. Dawni mieszkańcy bronili się, ale z czasem uchodzili przed napastnikami. W ten sposób zawładnęli południowymi krajami Europy najezdzcy z Małej Azji. Taki właśnie najazd barbarzyńców i ucieczkę dawnych mieszkańców przedstawia powyższy obrazek.

Wieczorny dzwon.

Serdecznemu Druhowi J. Kapuścińskiemu poświęcam

Nad wioską konał dzień.

Umajone zbożami niwy, usiane kwiatami wzgórza i łąki otulał swemi ramiony idący od wschodu zmrok. Na ogromnej zieleni pól kładła się pełna uroku i czarownych tchnień cisza wieczorna. Ptaszęta, kończąc swe pieśni, spływały lekko na trawy, wysrebrzone kropelkami rosy. Ziemia-matka przytula je miłośnie do swego łona i bujną szatą ziół pachnących, okrywa tych najsłodszych swych pieśniarzy, zapewniając im rozkoszny sen nocy letniej, pełnej poezji i wdzięku.

Z trawiastych pagórków i łąk płynie cichą melodją ustawiczne, tęskliwe ćwierkanie koników polnych — niby muzyka niewidzialnie ukrytych mistrzów, piejących małą tęskną a tak serdeczną, przejmującą do głębi i ogarniającą duszę ogromem potęgi najwznioślejszych uczuć.

Na wiosnę spływa duch pokoju. Ustaje gwar i praca.

Równocześnie z wieży kościoła stojącego na wzgórzeu, zagrały dzwony wieczorne na „Anioł Pański". Kołyszą się serca spiżowe, modlitewną potęgą bijącą w nieskończoności niebieskie — do stóp Stwórcy. Chłopek uklęka do modlitwy. Gorąca prośba prostej lecz wierzącej duszy jego — zlewa się harmonijnie z hymnem dzwonów i potężną falą płynie ku Temu, który dobrocią swoją ogarnął świat.

Nad pola wypłynął księżyc biały, pałający.

W srebrnej poświacie stoją pogrążone w zadumie brzozy białe, lejąc srebro swych warkoczów na dróżynę polną — otoczoną morzem zbóż.

Wioskę ogarnął sen. Od czasu do czasu słychać tylko szelest skrzydeł ptaka, powracającego do swego gniazda w borze.

A dzwony grają dalej hymn uwielbienia i gorącej prośby o łaski dla wieśniaka, spoczywającego snem twardym pod słomianą strzechą. O spokojną i bezpieczną dla niego noc. O nowe siły do pracy, o brzasku oczekującej go w polu. O wytrwanie w trudach, o cierpliwe zniesienie boleści i krzyżów. O odżywczą, pokrzepiającą rosę dla traw i zbóż kłosistych szumiących pieśnią nadziei na rodzajnej glebie. O niezmąconą ciszę nocną i błogosławieństwo dla wszelkich istnień ziemi. O przeczysty błękit niebiosów wiszących nad wioską. O bezpieczne schronienie i kęs chleba dla sierot, bezdomnej i zapomnianej nędzoty ludzkiej. O zagładę dla zawiści, samolubstwa, fałszu i zwyrodnienia, zgubnych nałogów, toczących tak wiele serc i dusz. O kwiat miłości braterskiej, prawdy i dobroci, bez której niwa życiowa stałaby się pustką ugorną, rodzącą chwasty i ciernie dla żeńców niepewnego jutra. O blask wiary, mocy i ideału dla błędnych pielgrzymów mdlejących na rozstajach życiowych. O miłosierdzie dla występku; o blask niebiańskiej pogody śród ciemności' — modlą się dzwony grające śród ciszy wieczornej.

A czyste i rozmodlone dźwięki idą rozgłośną falą w dal, padają na rozstajnych drogach u stóp Ukrzyżowanego i konają zwolna w przepaściach nieba.

W wiosce cisza.

Tylko księżyc rozsiewa rzęsiście po zbożnych niwach swoją przędzę srebrzystą i w trawach ugornych grają świerszcze polne. W oddali szumią zdroje, gwarzą stare drzewa nad strzechami chat i anioł pokoju, rozpostarłszy swe skrzydła od nieba do ziemi, czuwa nad śpiącą wioską.

Wojciech Byczek.



MACIEK BZDURA GADA:

Wawrzek z Marcysią spadli z kazanicę w tamtą niedzielę poraz pirsy, w Zielną poraz drugi, a w tę niedzielę poraz trzeci. Spadli i nie rozbili się. Ale choć się nie rozbili, to i tak we wsi było gadania co niemiara. Najbardziej gadały te dzieuchy, co się jem już chciało, a nie miały z kim przejść się do łontarza. Padały, ze taki chłop, co juz jedną babę pochował, to jak ten but przechodzony, co na którą nogę chces, to go włozys. Tak i gdowiec; cy cię pocałuje, cy lasicą przeciągnie, to nie wis, cy to la ciebie było przeznacone, cy la nieboski za jej jesce dawne przewinienia. Gdowcowi nie zrób tak, jak on chce, to choćbyś najlepiej zrobiła, to on ci zaraz przypomni nieboskę i powie, ze onaby to lepiej umiała.

Tak se padały dziopy we wsi, a kuzda se myślała, ze jakby co się stało i Wawrzek od Marcysi się odwalił, toby go ta kuzda la siebie łapała. Boć przecie Wawrzek jest chłop na schwał i doświadcenie małzeńskie posiada. A doświadcenie to wielga rzec! Jeden i drugi mikrus, jak się w młodych latach obabi, to nie wie, z której strony do kubity przemówić, nie wie kiedy ją przełojić, a kiedy pogłaskać. Taki zasię, co już jednę przy sobie zdar, to wie, jak i kiedy najlepiej.

Latego te syćkie dzieuchy wsiowe na Wawrzka i Marcysię wygadywały, a kuzdej się ino ślipia świciły na niego i kuzdaby mu rada była. Bo co gdowiec, to gdowiec, doświadcenie ma, jak się patrzy i koniec, a nie tak, jak kawaler, co to niewiada, cy z niem będzie po ślubie chłopak, cy dziopa.

Bez to tez, jakbym ja prawa pisał, tobym wydał takie prawo, coby się zadnemu kawalirowi zenić nie było wolno, ino samem gdowcom.

Niktórem to się zdaje, ze ozenić się to tyle, co chleba z masłem zjeść. Baj baju! Zeniacka to wielga rzec! Najpierw poseliny, potem pacirze, potem opowiedzi, potem chrzciny (nie zawse), a wreście samo wesele.

Do poselin trzeba jednego, albo dwóch gospodarzy. Do pacierzy musi być on i ona i ten trzeci, to jest jegomość; do opowiedzi wystarcą sami jegomość, a do wesela to nieraz i w całej gminie takich się nie najdzie, zeby do wszyćkiego obstali. Bo oprócz młodego i młodej, oprócz jegomości, pana organisty i kalikanta trzeba jesce starosty i starościny, trzeba druzbów i druzek, trzeba muzykantów, coby swojem graniem wszyćkie nieszczęścia odganiali. A do tego odpowiednich ludzi nieraz nietylko we wsi, ale w całej parafji nie znajdzie. Są, ale nie tacy, jak potrza na gospodarskie wesele.

Starościną moze coprawda być kuzda baba, ale wiadomo przecie, ze starościna cyli, jak ją u nas nazywają swaska, starościnie nie równa. Na gospodarskiem weselu musi być starościna, co się zowie. A więc najpirw powinna posiadać smat cały kuferek, aby się w nie godnie przyodziała, musi być w sobie obsyrnia, coby ją kuzden podcas jazdy do ślubu, i w kościele, i na weselu zuźrał, musi mieć i majętność jaką taką, aby było z cego i co na wesele wydłubać. Bo to trza i jegomości kołac upic, i druzbów harakiem pocęstować i muzykantom jakiego złotego do basów wepchać. A na to wszyćko chudobna nie poradzi i nieraz trza starościny w obcej gminie sukać, aby wesele było, jak się patrzy, a nie bele co.

A strosta to tez nie byle chetka pętelka. On na weselu, to jak wójt w gromadzie. Musi na wszyćko bacyć, o wszystko dbać, wiedzieć, kiedy i kogo po łbie przedzielić, jezeli ino na to zasłuzy. Jak ino kiepski starosta, to i kiepskie wesele, bo bije się na nim kuzdy, kiedy ino chce i z kim chce. Dobry starosta utrzyma porządek i nie dozwoli, aby w środku zabawy bijatyki się odbywały. Będzie tak robił, aby to było dopiro w swojem casie, to jest na końcu.

Druzbą moze być kuzden chłopak, byle ino był świarny i umiał z flascyny dojić i na lewo i na prawo stajera wywijać.

Gorzej za to z druchnami, scególniej tam, gdzie, jak u nas, druchny musą na wesele rózgi z jabłek uwijać. Na to trzeba pinięndzy, bo przecie jabka na ścirni się nie rodzą. A prócz tego i siebie musi jako tako ocharuzyć, i to nie tylko z wirzchu, ale i od spodu, bo na weselu wszyćko widać, a przecie ludzie nie ślepi. Do tego wszyćkiego jak druchna trafi na takiego druzbę, co lubi, zeby nie ochryp, garło przepłukiwać, to jej bez cas wesela niejeden złociak z kieseni wyleci, bo inacejby nie hulała ino marchewkę skrobała. A druzek na gospodarskie wesele potrza conajmniej śtyry, a cy się to w kuzdej wsi śtyry takie dziopy znajdzie, coby miały wszyćko, co potrza, i jesce pannami były.

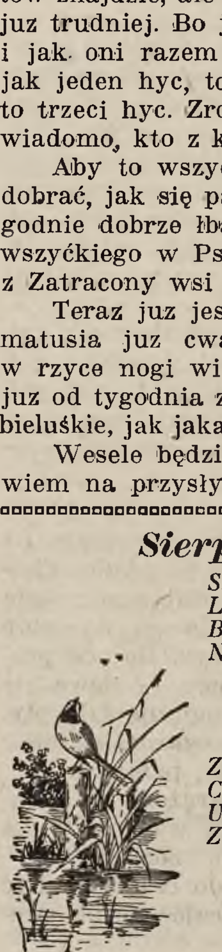
A najgorzej to juz jest z muzykantami. Na porządne wesele potrza skrzypka, basisty i klarnecisty. Coprawda to w kuzdej wsi trzech takich muzykantów znajdzie, ale takich, coby się na jedno nadali, to juz trudniej. Bo jak się znajdzie trzech w jedny wsi i jak oni razem zagrają, to juz obraza Boska. Bo jak jeden hyc, to drugi nic, a jak znowu pirsy nic, to trzeci hyc. Zrobi się z tego taki harmider, ze nie wiadomo, kto z kim, jak i gdzie.

Aby to wszyćko dokumentnie ułozyć i wszyćko dobrać, jak się patrzy, musiał Wawrzek bez dwa tygodnie dobrze łba se nasusyć, nim dobrał, ale i tak wszyćkiego w Psi Wólce nie znalazł, ino se musiał z Zatracony wsi dopozycyć.

Teraz juz jest wszyćko w komplecie. Marcysina matusia juz cwarty dzień placki pieką, dzieuchy w rzyce nogi wiechciami surują, a pani starościna juz od tygodnia zimiaków nie skrobie, aby mieć ręce bieluśkie, jak jaka hrabina, albo plebańska gospodyni.

Wesele będzie galante, a co i jak, to wam opowiem na przysły tydzień, jak mnie na nie zaproszą.

Sierpień.



Sierpień, sierpień. dzwonią kosy
Ledwo świta słońca zorza,
Błyskają się krople rosy
Na pochyłych kłosach zboża.
Rzęd kosiarzy na zagonie
Zżyna zboże na pokosy,
Tylko świszczą stalne kosy
I zczerniałe chłopskie dłonie.
Zwija kosarz ostrą kosą.
Choć pot ezoło perli, rosi,
Uśmiechnięty dalej, boso,
Złote łany wesół kosi.
Choć go srebrzy potu morze,
On nie spocznie, rozmodlony
Jeno wzdycha: Za te plony
Dzięki Ci, o Wieczny Boże!

Franciszek Macioł.

Ślepa niewolnica.

XII.

Zasadzka.

Ukryty wpośród drzew stał podkomendny Sobieskiego z końmi. Dokoła niego panowała ciemność. Wiatr poruszył liśćmi i gałęziami drzew, zresztą cisza była dokoła.

Z natężoną uwagą oczekiwał na posterunku.

Nagle wydało mu się, jak gdyby słyszał lekki odgłos kroków. Czyżby się mylił. Czy to było złudzenie natężonych zmysłów.

Nie! to nie było złudzenie! to był odgłos kroków!

Towarzysz Sobieskiego odwrócił się. Poza nim słychać było wyraźny szmer. Nagle drgnął.



— Kto tam? — zawołał

Ciemna postać ukazała się tuż przy nim między drzewami...

Wyciągnął szybko szablę. Gdyby nieprzyjaciele posunęli się bliżej, pragnął przynajmniej drogo sprzedać swe życie.

— Kto tam? — zawołał stłumionym głosem.

Postać stanęła na chwilę.

— Szlachetny panie, — rzekła — czy to ty?

Odpowiadającym nie był mężczyzna... był to głos dziewczyny.

Towarzysz Sobieskiego zaklął.

— Kto jesteś? — zapytał, — i czego tu chcesz po nocy?

Dziewczyna rękami macając koło siebie, zbliżyła się powoli.

— Jestem Sassa, szlachetny panie! Szukam ciebie! — odpowiedziała.

— Daję słowo, to ślepa niewolnica! — rzekł towarzysz Sobieskiego niechętnie i głośniej dodał:

— Po cóż przyszłaś aż tutaj? Czy nie wiesz, że tu grozi niebezpieczeństwo?

— Nie obawiam się go! — odpowiedziała Sassa.

— Lecz możesz na nas je sprowadzić, dziewczyno.

— Jesteś towarzyszem hetmana Sobieskiego, poznaję cię po głosie. Gdzie jest mój pan?

— Zdaje mi się, że jesteś tyle nierozsądna, iż chciałabyś iść za nim!

— Co?... a więc pan mój udał się do Żwańca, zapytała Sassa.

— Powracaj, tutaj nie możesz zostać! — rozkazał towarzysz Sobieskiego.

Ślepa niewolnica stała przez chwilę nie wiedząc co począć.

— Do Żwańca, a w Żwańcu stoją nieprzyjaciele, — rzekła, — jest zgubiony, nie zobaczymy go więcej.

Powoli zaczęło świtać. Sassa odeszła.

Towarzysz Sobieskiego wpatrywał się w wieżę.

Wydało mu się, że spostrzega u jej szczytu chorągiew. Dosiadł więc konia, drugiego wziął za cugle i galopem puścił się do obozu.

W drodze dopędziwszy Sassę, zatrzymał się i wziął ją na konia Sobieskiego.

Przybył szybko do obozu, złożył raport i wkrótce cały oddział wyruszył, aby otoczyć i zaatakować miasto.

Ożywione zapałem wojsko szło naprzód. Potrzeba było przypuszczać szturm gwałtowny. Zdobycie Żwańca przyniosłoby wielką korzyść Polakom.

Nim się dowiemy, co się dalej stało, musimy raz jeszcze powrócić do Żwańca i dowiedzieć się, jakim sposobem chorągiew dostała się na wieżę.

Gdy Jan Sobieski przebrany za kozaka Iwana, szczęśliwie przybył do wieży, nieszczęśliwy przypadek a może jakieś przeczucie Doroszenki zrządziło, że wstał on w nocy, ażeby się przekonać, czy wszystkie warty są na stanowiskach.

Doroszenko, człowiek wysoki, dziko wyglądający, lubił czynić takie niespodzianki swoim szyldwachom. Otulił się płaszczem i zaczął ich obchodzić.

Gdy po niejakim czasie zbliżył się do wieży, zapytał warty, czy nie ma co zameldować.

— Szpieg Iwan powrócił do miasta, hetmanie, — odpowiedział szyldwach.

— Gdzież jest? — zapytał Doroszenko, który wysłał tego człowieka, ażeby zabił Sobieskiego.

O ilości sił nieprzyjacielskich Doroszenko był już zawiadomiony od innych szpiegów, którzy późnym wieczorem wrócili do Żwańca.

— Jest w wieży hetmanie, — odpowiedział szyldwach.

— A on tam po co? — zapytał Doroszenko.

I poszedł sam do wieży, ażeby tam znaleść Iwana.

Sobieski nie przeczuwał groźnego niebezpieczeństwa, które nagle zawisło nad jego głową. Aż do tej chwili wykonanie jego planu udawało mu się.

Dostał się szczęśliwie do starej, szerokiej wieży i wszedł na górę.

Na górze wieży znajdowała się izba dla straży, w w której kilku żołnierzy Doroszenki leżało na podłodze, a w szczelinie muru utkwione duże łuczywo, słabym blaskiem oświetlało to miejsce.

Wszedł do izby i ujrzał w jednym z rogów zwiniętą chorągiew. Sobieski zbliżył się po cichu i chwycił chorągiew.

Zuchwały czyn zdawał się udawać.

Trzymając w ręce chorągiew, zwrócił się do wyjścia.

Śpiący nie ruszyli się.

Jednakże w chwili, gdy przystępował do stojących otworem drzwi, ażeby dostać się na ciemne schody wieży i na jej szczyt, ukazała się nagle w ciemnościach jakaś wysoka postać.

Sobieski drgnął.

Naprzeciw niego stał Doroszenko!

Dwaj przeciwni wodzowie stali naprzeciw siebie, z tą tylko różnicą, że jeden był w mocy drugiego i musiał zginąć, gdyby został poznanym.

Hetman kozaków spojrzał na wychodzącego z izby wieżowej.

— Po co bierzesz chorągiew, Iwanie? — zapytał, — jakie wiadomości mi przynosisz?

W tej chwili zamilkł. Żołnierze jego przebudzili się i powstali.

Doroszenko przystąpił do Sobieskiego i szybkim ruchem ręki zerwał mu czapkę z głowy.

— Ty nie jesteś Iwan! — zawołał, — jesteś nieprzyjacielskim szpiegiem, który się zakradł do miasta! Przekleństwo! — krzyknął, — to Sobieski!

Była to przejmująca chwila!

Sobieski widział, że go poznano. Był zgubiony. Był w ręku swoich wrogów.

Odwaga i przytomność umysłu nie odstępowały go jednakże! Miał właśnie zadać chorągwią silny cios w głowę Doroszenki. Ten jednak uniknął ciosu i wydobył szablę.

W tej samej chwili żołnierze Doroszenki rzucili się na Sobieskiego, który próżno usiłował się bronić. Uderzenie tępem narzędziem powaliło go na ziemię.

Dowódzcy kozaków nadeszli, dopytując się co zaszło.

Żołnierze zanieśli Sobieskiego do celi wieżowej.

Doroszenko trzymał w ręku chorągiew.

— Sobieski, wódz nieprzyjacielski, chciał tu urządzić dziś atak, — mówił śmiejąc się, — więc zamiast tego urządzimy zasadzkę i zwabimy do niej jego żołnierzy! Wszystkie wały i mury niech będą obsadzone, ale niech nikogo widać nie będzie, ażeby wszyscy, którzy wejdą, natychmiast zostali wytępieni! Albo nie! Wpuśćmy ich do miasta! Wy się ukryjcie, a gdy wejdą, wyskoczycie z kryjówki i zaśpiewacie pieśń zwycięstwa.

Rozkazy zostały wykonane natychmiast.

Nagły ruch powstał w wieży i w całem mieście.

Jak piorun rozeszła się wieść, że hetman Sobieski dostał się do niewoli.

Kozacy głośno objawiali swoją radość.

Nagle odezwały się rogi i wezwały ich pod chorągwie.

Powtórzono rozkazy hetmana. Na wieży powiewała chorągiew.

Żołnierze Sobieskiego mieli być zwabieni w zasadzkę.

Z brzaskiem dnia ukończono wszystkie przygotowania w Żwańcu.

Doroszenko ukrył się na górze pod dachem wieży, ażeby widzieć wszystko.

Tymczasem oddział polskiego wojska nadciągnął pod Żwaniec.

W drodze wojsko polskie spotkało się z przedniemi strażami przybywającego polskiego oddziału. Oddział ten miał dwie armaty. Główna siła wojskich znajdowała się jeszcze daleko.

Podwładni Sobieskiego nie chcieli czekać na przybycie armat, ale bezzwłocznie ruszyli na Żwaniec.

Uderzyło ich wprawdzie, że miasto było pogrążone w tak głębokiej ciszy, mimo to otoczyli je i brnęli przez otaczające fosy.

Stąd i zowąd padło kilka strzałów. Osada miasta jednak była widocznie bardzo słaba.

Kilku odważniejszym udało się spędzić wartę od mostu zwodzonego i spuścić most.

Nadciągający Polacy rzucili się na most z głośnymi okrzykami.

W tej chwili ze wszystkich domów i kryjówek dano do nich ognia. Na każdym kroku padali zabici. Ranionych tratowano końmi.

Doroszenko widząc z wieży, że wszyscy Polacy dostali się do miasta, rzucił się z garstką najodważniejszych do bramy, ażeby ją zamknąć i nikogo żywego nie wypuścić!

Kilku tylko żołnierzy Sobieskiego, przy których znajdowała się Sassa, pozostało za miastem i uniknęło losu, jaki spotkał tych, którzy byli bez ratunku zgubieni.

Daremnie bronili się z rozpaczną uwagą, próżno usiłowali dostać się do bramy lub do wieży. Wszyscy, którzy się o to pokusili, zostali bez litości wytępieni.

Całe miasto było jedną kałużą krwi. Nie było ulicy ani domu, któreby nie były krwią zbroczone.

Rozbestwieni zwycięzcy obchodzili krwawe wesele, siadając na trupach pili wino i wódkę. Wielu pijanych padało przy trupach.

Żwaniec straszny przedstawiał widok.

Doroszenko także z atamanami oddawał się rozpasanej radości. Zasiadł wraz z nimi w jednym z domów miejskich za stołem i brał udział w uczcie pijackiej.

— Zamknęliśmy lwa do klatki, — mówił do swoich podkomendnych, — jutro będzie wyprowadzonym za miasto, żeby zobaczył swoich żołnierzy! To go ucieszy! Co potem mamy zrobić z Janem Sobieskim, o tem jutro naradzimy się! Dzisiaj obchodzimy zwycięstwo!

Wino i wódka płynęły strumieniami, a zwycięzcy oddawali się rozpasanej radości.

XIII.

Pożar w wieży!

— Zlitujcie się... gdzie jest mój pan? Gdzie jest Jan Sobieski, wasz wódz? — wołała ślepa niewolnica, załamując ręce, gdy mały oddział w bezładnej ucieczce uchodził od miasta, w którem wrzała walka.

Sassa nie otrzymała odpowiedzi od niewiedzących co począć przerażonych żołnierzy.

— Jest w Żwańcu! Ratujcie go! Ratujcie Jana Sobieskiego! — wołała zrozpaczona.

— Któż go zdoła ocalić? Jest nas za mało! — rzekł wreszcie jeden z żołnierzy.

— Więc chcecie uciec, uciec, a wodza waszego, dzielnego wodza oddać na pastwę? — wołała Sassa.

— Musimy sprowadzić odsiecz, dziewczyno! Do miasta iść nie możemy, bo i my byśmy zginęli! — odpowiadano.

Cisza panowała dokoła. Żołnierzy nie było. Wrzawa, która dochodziła od miasta, cichła powoli. Godziny upływały. Oddziału z dwiema armatami nie widać było jeszcze.

Wieczór zapadł na miasto i okolicę.

Sassa podniosła się. Zuchwałą determinację wyrażały jej blade rysy. Musiała odejść, musiała się dowiedzieć, czy Sobieski jeszcze żyje! Jeżeli był w niewoli, pragnęła dzielić z nim niewolę.

Znała kierunek, w jakim winna była się udać, pomimo swojej ślepoty. Nie lękała się swoich nieprzyjaciół. Jeżeli Jan Sobieski zginął, to i ona także zginąć pragnęła. Musiała dostać się do miasta! Pędziła ją tam rozpacz! Pragnęła wiedzieć, co się stało z jej panem.

W ciemności wieczornej zbliżyła się do fos, które otaczały miasto. Głęboka cisza zapanowała w mieście po okrzykach zwycięstwa.

Uczuła nagle, że wchodzi do wody.

Dowiedziała się tym sposobem, iż ma przed sobą fosy miejskie. Chciała spróbować, czy jej się nie uda przebrnąć i dostać się do bramy, o której towarzysz Sobieskiego powiedział, że miała zostać otwartą.

Fosy otaczające małe miasta bywały zwykle napół wyschłe, a zatem niezbyt głębokie.

Sassa nie lękała się niczego. Ostrożnie i cicho poszła dalej. Ręce jej dotykały wystających belek i części muru. Szukając, natrafiła na inne schody.

Ponieważ domyślała się, że kozacy ujętego nieprzyjacielskiego wodza musieli osadzić w najbezpieczniejszem zamknięciu, poszła temi schodami, prowadzącemi na sam szczyt wieży.

W tej chwili rozległ się strzał, podobny do dalekiego grzmotu.

Oddział polski zbliżył się do miasta i zaczął je ostrzeliwać z armat.

Huk tych wystrzałów radością przejmował ślepą niewolnicę! Nadchodzili wybawcy! Teraz, jak sądziła Sassa, wszystko jeszcze dobrze skończyć się mogło. Sobieski jeszcze mógł być ocalony z rąk nieprzyjaciół.

Zagrzmiał ponowny wystrzał i musiał być skuteczny, gdyż Sassa usłyszała krzyki.

Drzwi kordegardy otworzyły się. Żołnierze Doroszenki wybiegli po schodach na dół.

Na ulicach powstał zamęt i ciżba. Nadciągający oddział nieprzyjacielski, o sile którego nie wiedziano, ostrzeliwał miasto.

Niebezpieczeństwo dla miasta było wielkie. Armat w niem nie było. Doroszenko nie posiadał ich, a w mieście był tylko stary moździerz nie przydatny do użytku.

Większa część kozaków i tatarów otrzeźwiała, słysząc strzały armatnie. Tylko bardzo pijani leżeli jak martwi.

Doroszenko i jego podkomendni ukazali się na wałach. Straszny był widok, gdy nagle błysnął znów wystrzał i kula ognista wzniosła się w powietrze, w ciemności.

Żołnierze obsługujący armaty celowali dobrze. Kule padały częścią do wody w fosach, częścią do miasta, gdzie osada starała się zapobiegać ich niebezpiecznemu działaniu.

Położenie znajdujących się w mieście było jednakże zagrożone i Doroszenko myślał o przedsięwzięciu wycieczki, dla przyspieszenia decydującej chwili. Wstrzymała go od tego jedynie myśl, że to może główne siły polskie przedsiębiorą atak, gdyż w takim razie byłby ze swą przednią strażą zgubiony.

Miał zatem do wyboru albo ze swym oddziałem opuścić miasto i połączyć się z głównemi swemi siłami, albo zrobić wycieczkę i doprowadzić do stanowczej bitwy.

Zdecydował się na ostatnie, aby położyć koniec ostrzeliwaniu miasta.

Odezwały się rogi i powołały Kozaków i Tatarów pod broń.

Polegli leżeli jeszcze na ulicach i placach. Gromadzący się ludzie Doroszenki stąpali po nich.

Otworzono wielką bramę, spuszczono zwodzony most i oddział opuścił miasto.

Przed fortecą uszykował się. Następnie zatrąbiono do ataku.

Dwie armaty, rzucały ciągle kule ogniste. Doroszenko wyruszył naprzód.

Tymczasem Sassa dostała się aż pod szczyt wieży i tam czyniła poszukiwania. Gdy straż opuściła kordygardę, uczuła się bezpieczną i zaczęła głośno wołać Sobieskiego.

W tej chwili jednak, z rozkazu Doroszenki, wyprowadzono Sobieskiego z wieży, aby w razie odwrotu nie pozostawić go w mieście.

Sassa słuchała, ale nie mogła rozróżnić, co się działo pod nią.

Ciągle jeszcze przypuszczała, że znajdzie swojego pana.

Gdy się rozległ dźwięk rogów i hałas na ulicach, oznajmił jej, że coś zaszło, chciała zejść po schodach na dół, aby tam szukać Sobieskiego.

Nagle rozległ się straszny łomot.

Kula ognista, po wyjściu Doroszenki z miasta, trafiła w wieżę.

Sassa, pozostała przez chwilę jak skamieniała na miejscu.

Co się stało.

Sassa, choć niewidoma, odgadła, zaraz, że straszne niebezpieczeństwo jej zagraża. Trzask drzewianych części wieży dowodził, że kula w szczyt jej trafiła.

Okropna była to chwila.

Czy miała zejść, uciekać, zostawić Sobieskiego w wieży?

Trzask trwał tylko przez chwilę. Sassa czuła, że ona sama i to, co ją otaczało, pozostało nietknięte.

— Panie! — wołała załamując ręce w rozpaczy, — panie! odpowiedz, czy jesteś tu w wieży?

Słuchała.

Co to było? Cichy trzask dobiegł do jej ucha. Głos żaden się nie odezwał.

— Janie Sobieski! Sassa cię woła! Sassa jest tu, aby cię uwolnić z niewoli! Daj mi znak, czy żyjesz, czy jesteś tutaj w wieży?

Słuchała znowu.

W wieży widocznie nie było żadnej istoty ludzkiej.

Wskutek przestrachu nogi prawie odmawiały jej posłuszeństwa. Kilka chwil jeszcze, a byłaby zgubioną, bo dym zwiększał się ciągle.

Chciała wołać pomocy, lecz słowa zamierały jej na ustach... przerażenie jej było zbyt wielkie. Zdawało jej się, że wszystko kręci się koło niej, że wieża wali się na nią, że ją płomienie obejmują.

Dostała się nareszcie do schodów, prowadzących na dół.

Okrzyk nadzieji wydarł się z jej ust.

Szybko zeszła po schodach.

Okropny dym ścigał ją. Cała wieża była go już pełna.

Sassa, zeszła na dół i zaczęła szukać wyjścia. Dostała się na korytarz prowadzący na miasto. Ale, gdy doszła do drzwi, przekonała się, że kozacy wybiegając z wieży zamknęli drzwi za sobą.

Przebiegła prędko do żelaznej furtki, wychodzącej na fosę, którędy dostała się do wieży.

I tę znalazła wkrótce, podczas, gdy dym dostawał się już do dolnych kompartymentów wieży.

Dotknąwszy drzwi drgnęła... dotknęła ich raz jeszcze... szarpnęła niemi... były zamknięte! Warta i te drzwi zamknęła.

Sassa, zachwiała się pod wrażeniem tego strasznego rozczarowania... upadła... siły ją opuściły...

(Dalszy ciąg nastąpi).



Kiedy cię trapią smutki i bole,
Weźmij do ręki naówczas »Rolę«.
Ta przyjaciółka, o Bracia moi!
Ulży boleściom, smutki ukoi.

Wszyscy trzej...

(Obrazek z życia.)

— Babuniu!...

— Co Franuś!...

— A to pewnie i ja już niedługo, tak jak oni obaj — nieprawdaż babuniu?

Siwa babka powstała na te słowa, niby oburzona, i zaczęła strofować dwudziestoparoletniego chłopca, który leżał na łóżku wyschnięty i żółty jak szkielet.



— Ej ty nudziarzu, ty maniaku! tobie zawsze jedno w głowie, oni i oni... A oni umarli to za siebie... a ty żyć będziesz za siebie...

— Kiedy mi się coś nie widzi.

— A ja ci mówię, że żyć będziesz i kwita! — oponowała babka, poprawiając poduszki, a w głosie jej na pozór twardym, drżał ukryty straszny szloch i ogrom starczego cichego przywiązania ku temu najmłodszemu wnukowi, dogorywającemu na zabójcze nieuleczalne suchoty. Odwróciła się też po chwili od łóżka i ukradkiem otarła toczącą się po jej twarzy natrętną, gorzką łzę.

Ale Franuś spostrzegł ten ruch ukradkowy, i oną łzę toczącą się po zoranej babczynej twarzy. I przybrał też zaraz inny ton, jakby naprawdę czuł się już dobrze, i odezwał się do babki wesoło, jak to był czynił za dawnych czasów:

— Babuniu!...

— Co Franuś?...

— Usiądźcie koło mnie, opowiem wam coś ciekawego.

A gdy babunia usiadła, Franuś cichym głosem, co rwał się jak nadpęknięta struna — zaczął wydobywać z dawnych wspomnień jakąś wesołą przygodę, i opowiadał tak dowcipnie, aż babunia poprzez szklące się łzy, śmiać się zaczęła bezzębnemi usty i wierzyć w swoje własne dopiero powiedziane słowa; że Franuś nie umrze, bo jest taki dowcipny i wesoły. I siedziała tak zasłuchana, kołysząc siwą swą głowę, to w prawo to w lewo — a Franuś, aby babcię do reszty rozweselić, pochwycił nagle jej rękę, a udając małego chłopca, zaszeptał, niby wykrzykując:

— Au! babulu — au!...

A babcia śmiejąc się, powtarzała:

— Żyć będziesz Franuś!... żyć będziesz!

Ale Franuś sobie coś nagle przypomniał i zapytał:

— A oni babuniu?... a oni?...

— Nie myśl o tem i zaśnij — prosiła znowu zgnębiona babka.

Lecz Franuś spać nie mógł, więc snuć zaczął dalej swoje smutne majaki:

— To było tak babuniu — zaczął cichym głosem. — Wszyscy trzej razem iść mieliśmy do wojska — i Stach i Janek i ja... Ale nam się ogromnie nie chciało służyć — choć powinniśmy byli pójść, aby Polsce służyć — nieprawdaż babuniu?...

— Tak Franuś!... tak! — potwierdziła babka.

— Ale myśmy tego wtenczas nie czuli — a że nikt nam nie przypomniał naszego obowiązku, więc myśleliśmy tylko o jednem; ażeby jakimkolwiek sposobem uwolnić się od narzucanej nam przymusowo powinności.

W tym to czasie, jakieś tam sąsiadki, zaczęły matce szeptać coś na ucho i doradzać — niby względem tego naszego wojska. Aż raz matka mi powiada: Słuchaj no Franuś, nie chciałbyś pewno iść do wojska, a i ja bym nie chciała, żebyś poszedł; dlatego też będę ci gotowała codzień lekarstwo i to będziesz pił przez cały miesiąc. Lekarstwo to pewno poskutkuje i ochroni cię od wojska. Nie pytałem się matki, co to było za lekarstwo, przystałem na wszystko. Na drugi dzień powiedziałem o tem Stachowi i Jankowi, i zapytałem, czy chcą pić ze mną razem one matczyne lekarstwo. Zgodzili się chętnie i od tego dnia przez cały miesiąc piliśmy coś gorzkiego i cierpkiego przyrządzonego przez moją matkę.

Nagle Franuś porwany atakiem suchego kaszlu przerwał opowiadanie, a po chwili kończył coraz bardziej słabnącym głosem:

— I nie poszliśmy babciu do wojska... Ale po roku umarł Janek na suchoty... a potem Stach... a teraz na mnie kolej, babuniu, bo ja ich namówiłem do picia... i nie chciałem służyć w polskiem wojsku...

— Ale tyś nic nie winien, dziecko — tłumaczyła drżącemi usty stara babka — winna jest tylko twoja matka, że wam młodym nie wskazała waszego obowiązku... i że sama dopomogła do zatrucia młodego życia.

— Matka winna! — szepnął wpółprzytomnie Franuś, i nagle dreszcz nim wstrząsnął okropny. Otworzyły się na chwilę strwożone oczy i spojrzały przerażone na babkę.

— Gdzie matka? — zapytał szeptem.

— Przyjdzie zaraz... Nie mów już nic, uspokój się Franuś!

I Franuś uspokoił się nagle. Leżał teraz cichutko i czekał, nie rzekłszy już ani słowa.

Wkrótce otworzyły się drzwi i weszła matka, ogarniając strwożonym wzrokiem leżące nieruchomo ciało syna.

— Franuś! — szepnęła, nachylając się nad nim.

— Cicho, on śpi! — zgromiła ją babka.

Ale ona już nie słuchała, porwała gwałtownie zesztywniałe ręce Franusia i krzyknęła w największem przerażeniu:

— Mój syn nie żyje!

A z półotwartych źrenic wyzierało już tylko straszne widmo śmierci, które jej rzucało okropne niewypowiedziane oskarżenie:

— Oto twoje dzieło nieopatrzna matko!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

W dwa dni potem, na cichym cmentarzu, wzniosła się usypana kolejno już trzecia świeża mogiła, w której spoczął przedwcześnie złamany kwiat młodzieńczego życia — obok dwóch podobnych jemu — co przez niezrozumienie swego obowiązku — a bardziej jeszcze przez fanatyzm kobiety-matki, zostali wtrąceni do tej ziemi, której służyć za życia się wzbraniali.

Nad świeżą mogiłą wnuka płakała długo, dnia tego, stara babka, zawodząc w głuchą przestrzeń rozpaczny swój jęk — a wtórowały jej ciche poszumy kołyszących się cmentarnych drzew, które szeptały wraz z nią, niby pacierz, niby ostrzeżenie dla innych:

O ziemio bądź lekką tym młodym; jak matka ukołysz ich w grobie...
Choć w życiu ci służyć nie chcieli, to wszyscy trzej... legli w Tobie.

Kachna Ł. Łza.



Poradnik gospodarczy.

Truskawki, jak to zresztą wiadomo, są jagodami podobnymi zupełnie do poziomek, tak z wyglądu, jak i smaku. Tylko kilkanaście a nawet kilkadziesiąt razy większe. A że to owoc bardzo smaczny i hodowla jego nadzwyczaj łatwa, przeto powinny się znajdować w każdym ogrodzie. Najdogodniejszą porą ich rozmnażania jest sierpień. Zwykle w tym miesiącu powstają na wąsach młode roślinki, które po pewnym czasie zakorzeniają się i przy pomocy tych korzeni same czerpią z ziemi pokarmy. Dużą część pokarmów dostarcza jednak krzaczek mateczny za pośrednictwem wąsa. Poza tem, zwykle za pierwszą roślinką, jaka powstała na wąsie, następują dalsze rozgałęzienia tego wąsa i powstają coraz to nowe roślinki. Wszystkie one przez długi czas żywią się sokami, jakie dochodzą przez wąsy z krzaczka matecznego. Jasną jest rzeczą, że czem później jakiś wąs się pokaże i czem później na nim powstanie nowa roślinka, tem będzie ta roślinka słabsza i tem dłuższy czas będzie krzaczek mateczny ogładzany przez boczne roślinki, co późno na wąsach się pokazały.

Tymczasem, każdy gospodarz, posiadający truskawczarnię, powinien dążyć do otrzymania, jak można najsilniejszych krzaczków matecznych, bo wtedy i plonowanie będzie obfitsze. Każdy to zrozumie, że silna roślina potrafi wydać dużo kwiatów i należycie wyżywić zawiązki, jakie z nich powstaną. Można być pewnym, że wówczas otrzyma się duże jagody, a każdy przecie lubi zjeść większy owoc niż drobiazg.

Dlatego koniecznem jest zaraz po dokonaniu zbioru truskawek przystąpić do oczyszczania truskawczarni od zbytecznych wąsów i chwastów.

Jeżeli ktoś chce swoją grządkę truskawek zachować do roku następnego i niema zamiaru zakładać nowej grządki, to poprostu wszystkie wąsy, jak i roślinki na nich powstałe powinien zniszczyć, to znaczy powyrywać i rzucić je na kompostową kupę. Natomiast, jakby kto chciał w roku bieżącym sobie truskawczarnię powiększyć, to postąpić musi nieco inaczej. Otóż, te wąsy, które pokazały się najwcześniej, wydają najsilniejszą rozsadę. Dlatego też do założenia nowej truskawczarni, lub do powiększenia dawnej trzeba używać rozsady z najwcześniejszych wąsów.

Dlatego podczas oczyszczania truskawczarni, prócz chwastów, wycinamy wszystkie wąsy, które późno się pokazały, a wychodzą z matecznych krzaczków; mają one zanadto słabą rozsadę; również urywamy rozgałęzienia starszych wąsów poza pierwszą roślinką. Wtedy pozostanie jedynie rozsada najstarsza i najsilniejsza, którą możemy użyć do wysadzenia na nowej grządce. Przyjmie się taka rozsada bardzo szybko i do jesieni znacznie się rozrośnie, zaś w roku przyszłym te truskawki całkiem ładnie zaowocują.

Poradnik kucharski.

Zupa piwna. Robi się w ten sposób co winna, tylko do piwa nie dolewa się wody i gotuje się pod pokrywką.

Zupa malinowa mrożona. 4 żółtka ubić do białości z $^1/_4$ funta cukru, postawić na blasze i wlewać powoli 1 litr przegotowanego i wystudzonego mleka, ubijać lekko, a gdy zgęstnieje odstawić. Przetrzeć przez sito litr malin, gdy mleko wychłódnie, zmieszać z malinami i zamrozić, a w braku lodu wynieść do piwnicy. Do zupy tej dodać biszkopciki.

W ten sam sposób można zrobić zupę z poziomek i truskawek.

Zupa czekoladowa. Jeden litr mleka zagotować z ćwierć funta czekolady, osobno ubić 4 żółtka z dowolną ilością cukru, gdy już ubite, wlewać czekoladę do żółtek bardzo powoli, mieszając bić na ogniu miotełką aż zgęstnieje. Wlać do filiżanki, postawić na lodzie, a gdy się zamrozi, podać na stół z biszkoptami

Zupa malinowa. Litr malin zagotować z litrą wody, przecedzić przez sito, osłodzić do smaku, zaprawić ubitą śmietaną z łyżką mąki zagotować i podać na gorąco, lub na zimno. W ten sposób można robić zupę: poziomkową, borówczaną, wiśniową, agrestową i porzeczkową.

Zupa nic. 2 żółtka ubić z 2 łyżkami cukru, kwartę mleka zagotowanego z kawałkiem wanilji, wlać powoli do ubitych żółtek mieszając, a gdy zgęstnieje wynieść do piwnicy. Z pozostałych białek ubić pianę, wsypać cukru, wymieszać i kłaść łyżką na papier, wstawić w letni piecyk, żeby wyschły. Podać zupę na stół z temi piankami.

Zupa cytrynowa. Kwaterkę krupek ugotować dodawszy łyżkę masła. Krupki te roztrzeć we wazie z paroma żółtkami i kwaterką kwaśnej śmietany, następnie rozprowadzić rosołem, zacisnąć do smaku soku z cytryny i wydać. Można też wkroić parę plasterków z cytryny.

KRONIKA.

Koniec wakacyj. Już bliski jest koniec wakacyj. Niejedno dziecko zwiesiło smutnie główkę. Niejedno dziecko próbuje jeszcze wykorzystać ten czas wolny, jak się tylko da. Niejedno z trwogą myśli o tem, że znowu trzeba będzie wstawać „tak bardzo wcześnie“ i „kuć lekcje“. Ten okres niedługi, dzielący dziecko od rozpoczynającego się roku szkolnego, należałoby obrócić na to, by je powoli przygotować na trudy, jakie je czekają, a tak o tych trudach z dzieckiem rozmawiać, by nabrało przekonania o potrzebie przyjętych na się obowiązków. Dobra matka ma tutaj wdzięczne pole działania. A więc niech już dziś rozmawia z dzieckiem o szkole i sprawach, które wiążą się ze szkołą. Powoli, nieznacznie naprowadzać dziecko na obowiązki, jakie je czekają. Niechże już teraz przygotuje sobie dziecko szufladę, lub półkę na swoje szkolne rekwizyta. Niech już teraz powoli kupuje ołówki, pióra i inne „drobiazgi“. Niech już teraz uporządkuje swoje książki. Codziennie obudzić je o kwadrans wcześniej, by przygotować je do wczesnego wstawania.

Rozpoczęcie roku szkolnego. Ponieważ tego roku 1 września przypada w sobotę, dlatego ministerstwo oświaty zarządziło, aky nauka we wszystkich szkołach rozpoczęła się dopiero w poniedziałek 3-go września, a nie w sobotę.

Straszny samosąd. We Lwowie na Zniesieniu rozegrała się tragiczna scena samosądu nad 56 letnim Michałem Puzkiem, który usiłował zniewolić 6 letnią córkę Teodora Maciebucha. Uwiadomiony o zamiarach ojciec dziewczynki wybiegł z domu i uderzeniem pięści w skroń powalił Puzka na ziemię. Przechodnie, dowiedziawszy się, o co chodzi, dobili konającego Puzka laskami. Maciebucha aresztowano.

Aresztowanie bandyty w Truskawcu. Funkcjonarjusze drohobyckiego wydziału śledczego aresztowali w Truskawcu niebezpiecznego i znanego na tamtejszym bruku rzezimieszka w osobie Ilka Banyluka, który był poszukiwany od dłuższego czasu przez władze policyjne i sądowe za rozmaite kradzieże i włamania. Obecnie „zaszczycił“ swoją osobą Truskawiec, gdzie przeważnie w porze nocnej dokonywał włamań do mieszkań, zajętych chwilowo przez kuracjuszy. Między innemi Banyluk włamał się do mieszkania Flory Rosenkrantz z Kielc, Henryka Ernsta pochodzącego z Wiednia i E Schlamm zamieszkałej stale w Rokołowie, kradnąc na lewo i prawo ubrania, bieliznę, biżuterję i t. p. wartościowe rzeczy. Skradzione rzeczy wywoził do Hołyna pow. Mościska, gdzie mieszka jego żona. Po tych i wielu innych zbrodniczych sprawkach policja zdołała wreszcie Banyluka pochwycić i osadziła go w więzieniu. Niektóre rzeczy wartości kilku tysięcy złotych zdołano u aresztowanego odebrać. Obecnie kuracjusze mogą spokojnie używać wywczasów letnich, chyba że ukaże się jaki nowy ptaszek.

Bratobójstwo. O tragicznym wypadku zbrodni bratobójczej zostały ostatnio zawiadomione władze policyjne w Stanisławowie. Fakt miał miejsce w Chocimierzu, pow. Tłumacz. W miejscowości tej mieszkał od dłuższego czasu Ignacy Petrow wraz z swoją siostrą Katarzyną. Onegdajszej nocy, gdy Ignacy najspokojniej spał, Katarzyna chwyciła leżącą w kącie siekierę i kilkoma uderzeniami w głowę zamordowała swego brata. Powód morderstwa narazie nie stwierdzony. Sprawczynię aresztowano. Dalsze dochodzenia w toku.

Napad rabunkowy. Kołomyja była onegdaj widownią niezwykle śmiałego napadu rabunkowego, zakończonego rozlewem krwi. Oto w nocy około godziny wpół do 2 wdarł się siłą nieznany sprawca do pomieszkania Leiby Rosenbauma, zamieszkałego w Kołomyji, ul. Dzieduszyckich 88. Bandyta zaczął plądrować po pokojach, a ruch obudził Rosenbauma, który wypadł naprzeciw rabusia i jego towarzyszy. Na jego widok oddali doń sprawcy kilkanaście strzałów rewolwerowych, a jeden z nich ugodził go w prawe ramię, raniąc go ciężko. Po dokonaniu tego czynu bandyci natychmiast zbiegli, zacierając za sobą wszelkie ślady. Rosenbauma po wypadku opatrzył lekarz miejscowy i zarządził przewiezienie go do szpitala. Dalsze dochodzenia w toku.

Ofiara własnej nierozwagi. Onegdaj w czasie robót polnych, rolnik Franciszek Trembiński lat 53 z Żydaczowa, znalazł granat małokalibrowy, który postanowił rozbić siekierą.



W czasie manipulacji przed domem swoim granat eksplodował, skutkiem czego Trembiński doznał ciężkiego obrażenia na całem ciele, oraz urwania lewej ręki. Mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej, Trembiński wśród strasznych męczarni zmarł w szpitalu.

Dziwne zatrucie. Niezwykły wypadek otrucia wydarzył się w Łodzi. Trzy dziewczynki: 7-letnia Marja Bednarska, 8-letnia Henryka Maciudzińska i 9-letnia Wanda Kaśkiewiczówna, wybrały się na pole za miastem i tu zaczęły zrywać i jeść jagody. Po powrocie do domu wszystkie trzy zachorowały przy objawach pomięszania zmysłów, rozszerzenia źrenic i suchością w gardle. Ciała ich pokryły się czerwonemi plamami. Przerażeni rodzice wezwali pogotowie ratunkowe, którego lekarz stwierdził zatrucie szalejem. W stanie bardzo groźnym przewieziono je do szpitala, gdzie walczą ze śmiercią.

Wyrodny syn. Warszawscy policjanci natknęli się na leżących w przydrożnym rowie trzech jakichś osobników. Na wezwanie: „Stać! Ręce do góry!“ — osobnicy rzucili się do ucieczki, strzelając do policji. Po krótkim pościgu dwu drabów ujęto. Trzeci zbiegł. Jeden z członków szajki wyznał, że szajka zakopała na polu pod Jelonkami karabin specjalnie przystosowany do użytku bandyckiego. Udano się na wskazane miejsce i istotnie znaleziono w ziemi karabin pozbawiony kolby, ze skróconą lufą, nadający się do noszenia niepostrzeżenie pod paltem. W czasie odkopywania karabinu rozegrała się dramatyczna scena. Do grupy wywiadowców i robotników, wśród których znajdował się i bandyta Nierzuchowski, podszedł wolnym krokiem 70 letni starzec, miejscowy pasterz. Najsurowszymi wyrazami zgromił Nierzuchowskiego, jednego z trzech aresztowanych:

— Przeklinam cię, wyrodny synu, który splamiłeś dobre imię swych rodziców!

Nierzuchowski rzucił się do nóg starcowi.

— Ojcze, daruj... przebacz — błagał ze łzami w oczach, czołgając się u nóg sędziwego ojca.

Starzec odwrócił się ze wstrętem od syna-bandyty.

— Niech ci Bóg przebaczy, bo ja nie mam sił na to — wyszeptał, oddalając się wolnym krokiem.

Ujęcie świętokradcy. W ręce policji warszawskiej wpadł onegdaj niebezpieczny włamywacz, „specjalista“ od świętokradczych rabunków, niejaki Artur Lange, stale zamieszkały w Łodzi. Aresztowano go na dworcu głównym w chwili, gdy wsiadał do pociągu, aby udać się do Łodzi. Przed paru tygodniami brygadę kradzieżową urzędu śledczego zaalarmowano wiadomością o świętokradztwie w kościele w Markach. Zbiry obrabowali zakrystję z kosztownych naczyń liturgicznych, oraz pozdzierali wota z ołtarzy. Przeprowadzone dochodzenie ustaliło ciekawe szczegóły. Mianowicie świętokradców było dwu, jeden z nich miał na obcasach okrągłe gumy. Poza tem kościelny przypomniał sobie, iż przed paru dniami zwiedzał kościół jakiś elegancki jegomość. Przypomniał sobie nawet jego rysopis, co znacznie ułatwiło policji zadanie. Rozpoczęto poszukiwania. Nagle nowy alarm. Okradziono kaplicę przy kościele św. Florjana na Pradze, o czem pisaliśmy już w „Roli“. I tu było dwu złoczyńców, i jeden z nich miał okrągłe gumy na obcasach. Wreszcie onegdaj wieczorem na dworcu głównym aresztowano świętokradcę. Sprowadzono go do urzędu, gdzie przyznał się do kradzieży i wskazał miejsce, gdzie ukrył zrabowane przedmioty. Znajdowały się one zaszyte w worku, ukryte w wyschłej studni na placu broni. Równocześnie zbir zdradził nazwisko swego wspólnika. Jest nim znany złodziej, karany kilkakrotnie więzieniem, Aleksander Drewicz. Lange znany jest zagranicą ze swych występów złodziejskich. W kraju odsiadywał karę 5-letniego więzienia.

Człowiek - samowar. Ze szpitala dla umysłowo chorych w Tworkach koło Warszawy uciekł oryginalny pacjent, nazwiskiem Anikij Pup. Przywieziono go z Wołynia, gdzie wzbudzał grozę swem niezwykłem postępowaniem. Od rana do godziny 4 po południu Anikij Pup był normalnym człowiekiem. Pracował na roli, czytał gazety, modlił się, palił machorkę i miał doskonały apetyt. Po godzinie 4 zmieniał się nie do poznania. Tracił pamięć, nie rozumiał ludzkiej mowy, stronił od towarzystwa i zamykał się w chałupie, by poddać się tajemniczym misterjom. Anikij Pup przeistaczał się w samowar. Zdejmował ubranie i czyścił kredą swe ciało od stóp do głów. Następnie wracał do izby, zastawiał stół szklankami i wchodził na tablicę, by przetrwać godzinami bez ruchu. Po naradzie z sołtysem rodzina umieściła chorego w Tworkach. Dobrze mu tam było, pracował w ogrodzie, zachowywał się spokojnie. Tęsknił tylko do tacy ze szklankami, kredy i gałganka. Wreszcie, zmyliwszy czujność dozorców, Anikij Pup przesadził ogrodzenie i uciekł. Ujęto go jednak w kilka dni i odwieziono z powrotem do szpitala.

Figlarne pioruny. W Zaleszczycach pod Bydgoszczą — jak donoszą pisma miejscowe — biją bardzo figlarne pioruny, jak widać z dwu wypadków, które zdarzyły się podczas ostatniej burzy. Jeden piorun wpadł do rękawa 16-letniej Grossówny, wyleciał zaś dekoltem szyji, nie czyniąc jej większej szkody, poza przestrachem i lekkiem oparzeniem. Drugi piorun wpadł przez komin do mieszkania pp. Orzechowskich, złamał nogę od krzesła, na którem siedziała p. Orzechowska, przewrócił szafkę, roztrzaskał zegar ścienny i po wybiciu kilku szyb spłynął w ogrodzie do ziemi. Nikt z mieszkańców nie poniósł szkody.

Ofiary huraganu. Podczas ostatniej burzy uległa tragicznemu wypadkowi córka nauczyciela z Nowej Wsi p. Neumanówna, oraz niejaki p. Jankowski. Wracających z pola do domu p. Neumanównę i Jankowskiego zaskoczyła silna burza. Dla uchronienia się przed nawałnicą oboje skryli się do stodoły, jednak burza była tak gwałtowna, że wywróciła stodołę. Z pod gruzów wydobyto nieżywą już p. Neumanównę, zaś Jankowski zmarł wkrótce wskutek odniesionych obrażeń.

Straszny wypadek na ćwiczeniach. W czasie ćwiczeń artyleryjskich wojskowych w Leśnej pod Baranowiczami, zaszedł niezwykły wypadek, który pociągnął za sobą śmierć żołnierza. W chwili gdy przygotowano armatę do oddania strzału, kanonier Marcin Sokal stanął przed lufą. Strzał padł nagle i chociaż oddany został ze ślepego naboju, skutki były tragiczne. Przybitek naboju i pęd powietrza oderwały Sokalowi głowę.

Pożar wsi. We wsi Kusówka na pograniczu polsko-sowieckiem, w rejonie Wereszyce, w jednym z domów należącym do gospodarza Witolda Switkiełły, wybuchł pożar, który z powodu panującego wiatru przerzucił się na sąsiednie zabudowania niszcząc doszczętnie 17 zabudowań gospodarskich wraz z żywym i martwym inwentarzem. Przeprowadzone dochodzenie ustaliło, iż pożar powstał w domu Switkiełły, który w nocy potajemnie wyrabiał spirytus.

Statystyka pożarów. Dotąd prawie 6.000 nieruchomości uległo pożarowi. W stosunku do lat ubiegłych liczba pożarów wzrosła poważnie. O rozmiarach klęski świadczą najlepiej cyfry. W czasie od 1 stycznia do 1 lipca b. r. spłonęło ogółem na terenie b. Kongresówki, Małopolski i Kresów wschodnich 5.967 nieruchomości, przyczem stosunkowo częste były w tym roku wypadki pożarów zbiorowych (od 10 nieruchomości wzwyż). Zdarzyło się ich aż 70.

W strasznej rozpaczy. W jednym z francuskich miasteczek położonych na rzeką Sekwaną zdarzył się wstrząsający wypadek. Przechadzający się nad rzeką policjant usłyszał dolatujący go głos dziecka, rozpaczliwie błagający: „Mamo, nie rzucaj mnie!“ Odwróciwszy się spostrzegł nad brzegiem głębokiej rzeki kobietę, która usiłowała gwałtem zepchnąć do wody swego kilkoletniego synka, chłopczyk zaś, uczepiwszy się z całych sił za nogi, rozpaczliwie prosił, by darowała mu życie.



Jak się okazało, nieszczęśliwa z powodu jakiegoś nieszczęścia rodzinnego, chciała utopić się razem z swojem dzieckiem. Nadejście policjanta uniemożliwiło wykonanie tego szalonego kroku.

Bunt Kozaków. Nad Donem wybuchła rewolta Kozaków przeciwko rządowi sowieckiemu. Kozacy potworzyli silne oddziały powstańcze, zwiększające się przez dezercję młodzieży z armji czerwonej. W kilkunastu miejscach poprzerywano komunikację kolejową. Celem stłumienia rewolty dowódca wojskowego okręgu północnokaukazkiego w Rostowie nad Donem zażądał od Moskwy 14-tej strzeleckiej dywizji moskiewskiej, złożonej z robotników komunistów. Dowódca wojskowy w Rostowie stwierdza, że nie może polegać na miejscowych wojskach i obawia się wysłania ich przeciwko oddziałom kontrrewolucyjnym, ze względu na niepewną ich postawę.

Nie chcą się żenić. Mamy londyńskie wszczęły alarm z powodu wyraźnej niechęci młodych mężczyzn do wstępywania w związki małżeńskie. Liczba zaręczyn w stolicy Anglji zmniejszyła się zastraszająco. Jedno z pism w Londynie urządziło na ten temat ankietę. Z nadesłanych odpowiedzi wynika, że winę za ten stan rzeczy ponoszą same panny, którym małżeństwo nie imponuje już jak dawniej. Wolą one używać swobody życia i niechętnie pozwalają się zakuć w kajdany małżeńskie. Do zmniejszenia liczby małżeństw przyczynia się również swoboda życia towarzyskiego. Dawniej młody człowiek, jeżeli chciał korzystać z towarzystwa panny, musiał występować w roli starającego się o jej rękę. Dzisiaj można z młodą dziewczyną chodzić na spacery i wycieczki, flirtować — bez jakiegokolwiek moralnego przymusu w kierunku oświadczyn. Najbardziej jednak pono bruździą pannom na wydaniu mężatki. Konkurencja mężatek jest niesłychanie szkodliwa, bo mężczyźni wolą zawierać przyjaźń z cudzemi żonami, a nie budować gniazdka dla własnych.

Cudowne odzyskanie wzroku. W stanie Ohio Ameryki Północnej zdarzył się niezwykły wypadek odzyskania wzroku przez ociemniałą od urodzenia 18-letnią dziewczynę. Opisuje ona swe pierwsze wrażenia. Oko jej nie przyzwyczajone do oceniania perspektywy przedmiotów, nie było w stanie określić odległości mebli, znajdujących się w pokoju. Wszystko, co widziała, zdawało się jej, iż znajduje się tuż przed nią. Była podobna do dziecka, które sięga ręką po gwiazdkę z nieba, gdyż zdaje mu się, iż jest tuż nad niem zawieszona. Panicznym strachem napawało ją chodzenie po pokoju, gdyż nie oceniając odległości przedmiotów, bała się, iż każdej chwili uderzy się o ścianę czy o stół. Radziła sobie w ten sposób, iż zamykała oczy i szła pomacku. Promień słoneczny padający przez okno do jej pokoju wzięła za przedmiot stały i chciała go obejść naokoło. Przejażdżka za miasto przyniosła jej szereg niespodzianek. Pasące się świnki wzięła początkowo za ludzi, ubranych na różowo, a potem za krowy. Drzewa wzbudziły w niej prawdziwy podziw, gdyż była przekonana, iż są one tej mniej więcej wysokości, co ludzie, z tą różnicą, iż zamiast jednej pary rąk, wyrasta na poziomie ramion ludzkich kilka gałęzi. Koło kierownicy automobilu wydawało się jej zawieszone w powietrzu. Wielką trwogę wywołuje u niej barwa czarna, gdyż przypomina jej to ślepotę, gdy widzi jakiś przedmiot czarny, zdaje jej się, że ślepota jej częściowo powraca. Prawdziwą tragedję stanowi dla niej fakt zaobserwowany w lustrze, iż włosy i oczy jej są czarne.

Krwawy porachunek. Od kilku tygodni Szanghaj jest widownią krwawej zemsty rodzinnej, która coraz szersze zakreśla koła. Zaczęło się od drobnostki. Pan Szang-Kwa-Sung chciał się ogolić. Zaszedł do fryzjera i ponieważ w golarni było duszno, prosił, żeby puszczono w ruch wentylator. Drobna sprawa. Ale przyrząd ten oddawna nie był w użyciu i po puszczeniu go w ruch obsypał gościa tumanami kurzu. Rozgniewało to pana Szang-Kwa-Sung i zwymyślał golibrodę. Ten, nie wiele myśląc, poderżnął mu gardło brzytwą. Też drobna sprawa w Chinach. Nazajutrz zjawił się w biurze policyjnem brat zamordowanego Tai-Kan-Ku i celnym strzałem położył fryzjera trupem. Wsadzono go do więzienia, gdzie wkrótce umarł otruty przez brata fryzjera. Wówczas dwaj kuzyni Tai-Kana-Ku zabili przez zemstę ojca fryzjera, niejakiego Wu-Ting. W odpowiedzi na to zięć Wu-Tinga zastrzelił jednego z napastników i zranił śmiertelnie drugiego. Ponieważ rody te są bardzo rozgałęzione, jest obawa, że krwawe porachunki nieprędko się skończą, gdyż w sądach chińskich ciężko o sprawiedliwość.

Więzienie za pocałunek. Pocałunek nie zawsze jest tak przyjemny, jak się to czyta w tanich romansach, świadczy o tem skazanie pewnego bohatera pocałunków na 5 dni więzienia. 33 letni szofer Michael Sallagher olśniony pięknością pewnego nowojorskiego dziewczęcia tak się zapomniał, że na ludnej ulicy pocałował przedmiot swoich afektów. W „podziękowaniu“ za taki akt wyróżnienia odpłaciła się owa miss, a była to urzędniczka, siarczystym policzkiem. Grupa młodych ludzi przypatrując się tym miłosnym zapędom jako, że działo się to w Ameryce, postanowiła amantowi dać nauczkę i byłaby go na śmierć zaboksowała, gdyby nie interwencja policji, która odprowadziła go do komisarjatu. Wprawdzie wyrozumiały sędzia przyznał otwarcie, że nie uważa samego pocałunku za rzecz tak znowu zdrożną, ale z drugiej strony przedstawia sobie plastycznie, coby to było, gdyby każdy młodzian bez ceremonji całował i to w miejscu publicznem pannę, która mu wpadnie w oko. Na takie salomonowe „dictum“ oskarżony nie czuł się na siłach replikować i zrezygnowany dał się odprowadzić do celi. Tam zdaje się będzie miał dość czasu na rozmyślanie czy jeden pocałunek wart jest 5 dni więzienia.

Pomnik mszycy. Rząd wyspy Kuby wzniósł w Hawannie pomnik, poświęcony mszycy, która kilka lat temu zniszczyła doszczętnie plantacje trzciny cukrowej na wyspie. Oryginalny pomysł uwiecznienia w postaci pomnika najazdu szkodliwego owada tłumaczy się tem, iż wobec klęski, spowodowanej przez mszyce, plantatorzy kubańscy byli zmuszeni poświęcić się uprawie innych roślin i owoców, jak tytoniu, kawy, ananasów, bananów etc., co przyczyniło się w rezultacie do ogromnego wzrostu dobrobytu na Kubie i do wzmożenia eksportu produktów kolonjalnych do Ameryki i gdzieindziej.

Czarodziej z Szanghaju. Wojska europejskie, stojące załogą w Szanghaju, nietylko narażone są na kule chińskich „wolnych strzelców“, ale walczyć też muszą z najróżniejszemi, a bardzo w Chinach rozpowszechnionemi przesądami ludności. Zdarzyło się mianowicie dnia 6 Miesiąca Smoka, że objawił się wielki czarownik Czang-Czang-Fu, co się tłumaczy „straszny-straszny-wieszcz“. Okazał ten czcigodny czarownik pierścień otrzymany bezpośrednio od boga Pi-Len czternastego stopnia drabiny niebieskiej i w imieniu tego uwielbianego demona oświadczył, że wszyscy Europejczycy wyginą, a mianowicie przez „złe powietrze“, które ów Pi-Len ześle. Ludność chińska — mocno zabobonna, ale jednocześnie bardzo praktyczna, stara się przyspieszyć wszelkiemi sposobami tę doskonałą przepowiednię. Ponieważ według wierzeń chińskich najskuteczniejszemi rozsadnikami „złego powietrza“ są parszywe koty, stare chińskie wiedźmy zbierają je z całej okolicy i puszczają do dzielnicy europejskiej. Również bardzo skuteczne mają być amulety, które Czang-Fu sprzedaje swym zwolennikom po dolarze za sztukę. Oczywiście dolary te idą dla boga Pi-Len, który uznaje tylko amerykańską walutę. Amulety takie świetnie chronią od kul europejskich, — zwłaszcza jeśli się nie wychodzi z domu. Ci, którzy z amuletami na piersiach chcieli wtargnąć do dzielnicy Europejczyków i polegli, popełnili bardzo popularny błąd, że nie wiedzieli jak i gdzie tych amuletów użyć... Tak wyłożył rzecz rodzinom poległych Czang-Czang-Fu i zyskał sobie jeszcze większe ich uznanie, jako człowiek nietylko widzący bogów, ale i niesłychanie uczony. Teraz „Czarodziej z Szanghaju“ zapowiedział, że białych zniszczy woda. Prawdopodobnie i tym razem praktyczni Chińczycy będą się starali przyspieszyć wyroki nieba, sypiąc do studzien nieco trucizny...

RZECZY CIEKAWE.

Ogrzewany gościniec.

Dotąd jeszcze go niema, ale będzie z pewnością, gdyż Amerykanie mają chwalebny zwyczaj wykonywania swoich zamiarów i pokonywania wszelkich trudności. Oto w górach Sierra Newada, znanych naszej młodzieży z rozmaitych opisów, znajduje się bardzo ważny gościniec, wiodący przez przełęcze tych gór. Gościniec ten nazywa się Victory Highway. W zimie pokrywają go olbrzymie zwały śniegu i uniemożliwiają wszelką komunikację, co się bardzo ujemnie odbija na interesach ludności. Gdyby się powiodło sztucznie ogrzewać tę część gościńca, która wiedzie przez najwyższą przełęcz i ma 16 do 20 mil długości, wtedy śniegi tajałyby i ruch kołowy na gościńcu byłby umożliwiony. Myśl ta pozornie fantastyczna, jest jednak wykonalna. Mianowicie w odległości około 20 mil na południe od Reno w Newadzie znajdują się pola z licznemi źródłami gorącemi i czynnemi gejzerami. Projektodawcy chcą gorącą parę zapomocą rur gromadzić w zbiornikach, które w odstępach co cztery mile zostałyby ustawione wzdłuż najwyższej części gościńca. Zapomocą tych zbiorników ogrzewanoby powierzchnię gościńca, skutkiem czego śniegi tajałyby i ruch byłby umożliwiony. Koszta projektu, acz wielkie, zostałyby zamortyzowane dochodem z nieprzerwanego całorocznego ruchu. Rzecz podobna już istnieje. W mieście kalifornijskiem Westwood, ognisku przemysłu drzewnego, ulice zapomocą ogrzewania parą są w zimie wolne od śniegu.

Człowiek z czarnymi okularami.

Na początku maja r. b. zmarł w Paryżu bogaty kupiec, Wiktor Lefevre. Ponieważ śmierć jego oczekiwana była od kilku dni, zebrała się przy łożu konającego cała jego rodzina. Umierający zażądał, aby mu pokazano wielką fotografję, na której z okazji uroczystości swego srebrnego wesela, był fotografowany wraz ze swą zmarłą niedawno żoną. Fotografję zdjęto ze ściany innego pokoju i umieszczono naprzeciw chorego na stole. Niezadługo konający zmarł i w chwili ostatniego jego tchnienia, wielki portret bez żadnej widomej przyczyny spadł ze stołu z taką siłą, że szkło i rama rozbiły się na kawałki. Gdy nazajutrz córka zmarłego zapragnęła oddać fotografję ową do ramiarza dla doprowadzenia jej do pierwotnego stanu, dowiedziała się ze zdziwieniem od służącej, że wieczorem dnia poprzedniego, t. j. niedługo po zgonie Lefevre'a, zgłosił się jakiś stary człowiek w czarnych okularach i zabrał portret do naprawy. Córka przypuszczała, że otrzymał on polecenie od kogoś z rodziny i na razie nie wchodziła w szczegóły. Dnia następnego, gdy cała rodzina przygotowywała się do wyprowadzenia zwłok nieboszczyka na cmentarz, rozległ się nagle dzwonek. Na progu drzwi stał stary człowiek w czarnych okularach. Pod pachą trzymał portret z naprawioną ramą i wstawionem nowem szkłem. Obraz przyjęła służąca i spytała wiele mu się należy. Na to nieznajomy odparł, że pieniądze trzeba wręczyć majstrowi jego z ul. Moliè'ra. Po tem wyjaśnieniu opuścił przedpokój. Po powrocie z pogrzebu, gdy córka zmarłego zobaczyła naprawioną fotografję, jęła pytać, kto dał ją do naprawy, lecz nikt z obecnych nie umiał jej na to pytanie odpowiedzieć. Gdy służąca podała adres owego ramiarza, obecnych ogarnęło przerażenie: w tym właśnie domu przy ulicy Molièr'a obstalowano dla zmarłego Lefevre'a trumnę. Córka jego pojechała więc do owego domu, ale nie mieszkał tam żaden ramiarz, a w zakładzie pogrzebowym, który się tam mieścił, nikt nic nie wiedział o reparowanej fotografji.

Sposoby odmładzania.

Sprawą wiecznej młodości i piękności zajmowali się ludzie od tak dawna, jak długo istnieje ludzkość.

Kosmetykę i teorję odmładzania znali Egipcjanie, Grecy, Asyryjczycy, Fenicjanie, a w wiekach średnich w każdej „Oficynie zdrowia", jak wówczas nazywano apteki, sprzedawano odmładzające eliksiry.

Od najdawniejszych czasów przechowała się wiara, iż najskuteczniejszą medycyną na młodość jest krew niewinnej dziewczyny. Połykali więc starcy pigułki z przymieszką dziewczęcej krwi.

Późniejsi medycy doszli do przekonania, iż krew można zastąpić „tchem". Sławny lekarz Klaudius Hermippus utrzymywał w swym domu 12 dziewic, które miały za zadanie „chuchać na wodę". Wodę, zaprawianą tchem dziewczęcym, sprzedawano jako pewny środek odmładzający.

Doskonałym środkiem na piękność był „tłuszcz z wisielca". Za słoik takiej pomady płacono bardzo wysokie sumy, więc tylko najbogatsze damy mogły sobie pozwolić na taki zbytek.

W 17 stuleciu ogromne wzięcie miał „eliksir młodości", sporządzony przez dra Flamela. Opowiadano sobie, iż uczony ten urodził się w czasie ostatniej wojny krzyżowej, a żył jeszcze za czasów Ludwika XIV. Liczył więc z górą 400 lat.

Słynnym środkiem, zabezpieczającym od starości był eliksir wynaleziony przez Teofrasta Paracelsa. Używano go w ciągu kilkuset lat.

W XIX. wieku cieszyły się wielką popularnością „Ziółka młodości Germain'a. Piły tę odmładzającą herbatę nasze prababki i babki i nic im te ziółka nie pomogły.

Dziś przyszła moda na rozmaitych Steinachów, Woronowów. A czas i starość, jak robiły, tak robią swoje.

Stulecie lokomotywy.

Ford jednej z wielkich fabryk metalurgicznych polecił wykonać lokomotywę najdokładniej podobną do tej, jaką zbudował w 1829 r. jej wynalazca Jerzy Stephenson.

Potrzeba będzie wielu miesięcy, żeby zadośćuczynić żądaniu amerykańskiego miljonera.

Lokomotywa ta, kopja „Rocket" (tak nazwał swą maszynę Jerzy Stephenson), została przeznaczona do jednego z muzeów Stanów Zjednoczonych.

Na 1929 r. przygotowują się zarówno w Anglji, jak i w Ameryce wielkie uroczystości na cześć stulecia lokomotywy, która „zadebiutowała", jak wiadomo w Ameryce i początkowo była wykorzystywana wyłącznie do przewożenia wagonów węgla.

Zmierzch mahometanizmu.

W chwili obecnej w Europie żyje około 4 miljonów mahometan. Mieszkają oni głównie na Bałkanach i pochodzą przeważnie od chrześcijan, którzy podczas czterowiekowego panowania Turków zostali „nawróceni" na islam. Na Bałkanach prawie wszędzie znajdują się jeszcze dzwonnice i właściwe cmentarze mahometan. Na 817.000 Albańczyków 560.000 wyznaje islam. Rumunja liczy jeszcze 250.000 wyznawców proroka. Grecja 241.000, Bułgarja, 690.000, Turcja europejska 690.000 i Jugosławja 1,337.000.

Wśród mahometan wymienionych krajów europejskich katolicyzm czyni wielkie postępy, w Bośni i Hercegowinie, gdzie znikł prawie zupełnie, niemal wstępnym bojem odzyskał utracony teren. W r. 1741 w obu tych krajach liczono tylko 40.000 katolików, zaledwie pięciu na stu mieszkańców. W r. 1922 liczba ta podniosła się do 449.000, a obecnie wynosi 490.000, co stanowi czwartą część całej ludności. W innych krajach mahometańskich Europy rozwój katolicyzmu nie jest tak wielki, ale wszędzie jest widoczny i wszędzie ma cechy zjawiska stałego.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp. Jan **Żmuda** w Chicago: Z nadesłanej korespondencji skorzystamy w jednym z najbliższych numerów „Roli" Za pamięć dziękujemy i prosimy o jednanie nam prenumeratorów w Ameryce. Zonka **Stósówna** w P.: „Odmieńca" zamieścimy. Franciszek **Chmiel** w P.: Książkę otrzymaliśmy, po przeczytaniu jej odpowiemy obszernie. Marja **Balsamówna** w P.: „Śmierć mego ojca" do „Roli" nie nadaje się. Jest to nowela za długa na jeden numer, a drukowana w kilku nie zajęłaby czytelników. Wojciech **Baran** w B.: Żądanego adresu niestety nie znamy. T. **Golonka** w T.: Nowelka „Jak smutnem bywa życie" dobrze napisana, ale zbyt erotyczna, przeto w „Roli" jej drukować nie możemy. Piotr **Wenc** w Ś.: Wszystko otrzymaliśmy — dziękujemy. Jan **Pelczar** w W. S.: Zamieścimy. Jan **Kołat** w M.: „Przyjaciela płanetników" zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. Na przyszłość prosimy pisać po jednej stronie papieru i nieco czytelniej. Józef **Kowalik** w K.: Wierszyk zupełnie dobry. Andrzej **Brożek** w R.: Nadeszła odpowiedź Starostwa w Białej w sprawie tego skandalicznego doręczania, o którem nam Pan doniósł. Mianowicie naczelnik gminy Rybarzowice odpowiedział Starostwu, że Pan „Rolę" regularnie otrzymywał, że te żale Pańskie są bezpodstawne. My jednak nie możemy uwierzyć naczelnikowi gminy, dla którego kontrola nad roznosicielem jest trudna, Pan zaś nie traciłby czasu na zażalenia i znaczków pocztowych, gdyby Pan nie miał powodu. Przypuszczamy jednak, że stosunki od teraz będą tam lepsze. Za interwencję Starostwa w Białej dziękujemy.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 18 sierpnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·05 do 1·65 zł.	Jałownik	od 1·00 do 1·70 zł.
Woły	od 1·14 do 1·75 zł.	Cielęta	od 1·27 do 2·15 zł.
Krowy	od 0·83 do 1·70 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·15 do 2·50 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·50 do 3.25

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Marko z K.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Belgji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rodzaj materji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto we Francji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wyspa na morzu Egejsk.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzeka w Serbji
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto we Włoszech.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Naczynie kuchenne.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Gatunek wódki.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Bośni.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzeka w Rosji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto we Francji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wulkan w Islandji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wyspa w środk. Ameryce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Dopływ Rodanu.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Bułgarji.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto we Włoszech.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Dawny pieniądz polski.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i przydomek sławnego króla polskiego.

2. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

I.

Pierwsza znaczy muzykę albo też zabawę,
Pierwsze trzecie to rzeczy stare lub zużyte.
Czwarte trzecie dla przestępców stanowią [obawę,
Drugiem trzeciem drzwi czasem bywają [obite.
Czwarta druga jest znowu syberyjska rzeka
Co gdzieś podobno w morze północne u-[cieka.
Całość jest to nauka trudna i mozolna
Lecz powoli ją pojmie młodzież pilna, [zdolna.

II.

Pierwsza wyraz łaciński, po polsku „mię" [znaczy
Druga znowu rodzajnik niemęski tłumaczy.
Trzecia znowu jest waga albo zabawa [inacze]
Pierwsza druga to dojście do celu tłumaczy.
Całość to nie logogryf ani też szarada,
Jeśli chcesz wiedzieć co, zgadnij, na to [trudna rada.

III.

Pierwsza trzecia zaimek pewno pytający,
Druga sama gryzoń, szkody nam czyniący.
Pierwsza znowu zaimek ale osobisty,
Pierwsza z drugą jest płazem z przydom-[kiem plamisty.
Całość jest zwierzątkiem zwinnem i zielo-[nem,
Żyje w miejscu suchem, ku słońcu zwró-[conem.

IV.

Czwarta sama — spółgłoseczka
Sama pierwsza znów płacz dziecka,
Druga sama „mnie" wyraża,
Trzecia z czwartą siedzibę zmysłów wyo-[braża.
Całość często spotykamy w „Roli",
Czasem nawet trudne, aż trzecia czwarta [boli.

3. Kwadraty magiczne.

(Ułożył W. Ciepiela z B.).

I.

■ ■ ■ ■ ■ Kamień szlachetny.
■ ■ ■ ■ ■ Piękność.
■ ■ ■ ■ ■ Zdrobniałe imię męskie.
■ ■ ■ ■ ■ Doskonałość.
■ ■ ■ ■ ■ Miasto nad Notecią.

II.

■ ■ ■ ■ ■ Miejsce klimatyczne.
■ ■ ■ ■ ■ Ogłoszenie.
■ ■ ■ ■ ■ Postać z „Trylogji".
■ ■ ■ ■ ■ Narzędzia ucisku.
■ ■ ■ ■ ■ Poeta.

4. Zagadka.

(Ułożył W. Ciepiela z B.).

Wprost czytany, jest zabawą, ludzie w niej [szaleją,
Wspak bywa potrawą, psy się o nią żreją.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 1 września br. Znaczenie zagadek z Nru 33 „Roli": 1. Przestawianka: Noe, Zbigniew Oleśnicki, Aleksander Głowacki, Cecora, Echem, Gabrjela Zapolska, Praga, Sygoń. 2. Szarady: Ojczyzna, Częstochowa, 3 Maj, Rzeczpospolita. 3. Łamigłówka: Potop. 4. Układanki: Turkawka, Kabat, Wysowa, Jarmarki.

Dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali pp. Franciszek Swaczyna z S. G., Jan Kawka z D., Piotr Wenc z Ś., Michał Dudek z L., Alfons Czader z W.

Nagrody wylosowali pp. Michał Dudek z L. i Jan Kawka z D.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Odważny.

— Jakiż on antypatyczny! Wczoraj pokłóciliśmy się na dobre i zaręczam, że gdybym był miał rewolwer, byłbym go spoliczkował!



Filozofja gracza.

„Kiedy przegram — irytuję się. Kiedy wygram też się irytuję, że postawiłem za mało“!



Pomieszanie płci.

Starszy pan: To wprost okropne, jak wyglądają dzisiejsze dziewczęta. Nie można ich w żaden sposób odróżnić od chłopców.

Sąsiad: To moja córka.

Starszy pan: Przepraszam, nie wiedziałem, że pan jest jej ojcem.

Sąsiad: Nie jestem jej ojcem, tylko matka.

Profesor i student.

Pewien profesor w Oksfordzie ogłasza na „czarnej desce“: „Oznajmiam, że zostałem mianowany przybocznym lekarzem Jego Królewskiej Mości“.

Student pewien, zapewne realista, napisał pod tem „God save the King“ („Boże ochraniaj króla“ — początkowe słowa angielskiego hymnu narodowego).



Brak czasu.

— Od ośmiu dni nie mogę zdobyć się na przeczytanie gazety!

— Dlaczegoż?

— A, bo biorę ją zwykle do biura, a od ośmiu dni mam właśnie urlop.



Podejrzliwy.

— Żoneczko, jesteś dzisiaj taka milutka... Pewnie krawcowa przysłała rachunek?

Rocznik „Roli“ z roku 1927

zawierający 19 powieści: „Tajemnica na dworze królewskim“, „Podróż naokoło świata, „Dziwy w świecie“, „Przygody Filipa“, „W szpitalnej celi“, „Dziwne sny“, „Zwiastunka śmierci“, „Wśród puszcz i stepów“, „Matka królów“, „Wawrzek Dybczak“, „Walkowa dola“, „Zemsta Judyty“, „Ucieczka Archanioła“, „Pomszczona zbrodnia“, „Staw św. Małgorzaty“, „Było to pod Jeną...“, „Abraham Pinkt i Mateusz Sikora“, „Baśń o Sobotniej Górze“, „Wskrzeszenie Łazarza“.

Wiele z powyższych powieści jest ozdobionych pięknemi ilustracjami.

W każdym numerze opowiadanie Maćka Bzdury, nadto wiele powiastek, gawęd, legend humoresek. Prócz tego kronika krajowa i zagraniczna ilustrowana. Na okładkach humor

Całość rocznika obejmuje 1.040 stron a kosztuje wraz z przesyłką pocztową tylko 9 zł. 50 gr.

Prenumerata kwartału bieżącego kosztuje 3 zł. 40 gr.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Numera zaległe z początkami powieści od półrocza można nabyć w Administracji „Roli“ w cenie 30 groszy za numer.

Kupujący w agencjach mogą nabyć też przez agencję.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 21 sierpnia b. r.

Pszenica .	50·00—51·50	Słoma długa	00·00—00·00
Żyto .	37·50—38·00	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies . .	39·00—40·00	Koniczyna na-sienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	38·00—39·00		
Łubin żóły	29·00—30·00	Otręby żytnie	30·50—31·00
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	58·50—59·50
Groch zwyk.	00·00 00·00	Mąka pszen.	84·00—85·00
Siano słodk.	29·00 - 30·00	Otręby pszen.	29·00 – 30·00
Koniczpastew.	38·00—40·00	Mąka czerw.	34·00—35·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

SŁYNNY ASTROLOG

robi wspaniałą propozycję



BEZPŁATNIE

chce Wam powiedzieć

Czy przyszłość Wasza będzie szczęśliwa i jasna. Jakie osiągniecie powodzenie w miłości, małżeństwie, przedsięwzięciach Waszych, planach i pragnieniach. Możecie również otrzymać wytłómaczenie wielu ważnych zagadnień, które jedynie Astrologja wyjaśnić jest zdolna.

Czy urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą?

RAMAH, słynny orjentalista i astrolog, którego studja i porady astrologiczne wywołać zdołały istny nawał tysiącznych piśmiennych podziękowań z całego świata, prześle Wam GRATIS, na zasadzie swej nieporównanej metody, jedynie na mocy, udzielonego sobie, Waszego imienia, adresu i ścisłej daty urodzin, astrologiczną analizę Waszej przyszłości, która łącznie **„z osobistemi radami“** zawierać będzie wskazówki, które Was wprowadzą nietylko w zdumienie, ale w zapał i entuzjazm. **„Porady osobiste“** zdolne są zmienić bieg Waszego życia. Napiszcie zaraz bez wahania w Waszym własnym interesie — adres: RAMAH, Folio 259 PE **44 Rue de Lisbonne**, PARIS. **Nadzwyczajna niespodzianka czeka Was!** Jeżeli chcecie, możecie w liście załączyć zł. 1·— w markach pocztowych, które przeznaczone są na pokrycie części kosztów porta i in. Porto do Francji: zł. 0·50.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.

Sprzedaż częściowa i hurtowna.

Cenniki na żądanie.

Uwaga na dokładny adres.

Chronicznie chorzy

którzy zwątpili w jakąkolwiek pomoc, mogą jeszcze odzyskać zdrowie, przy pomocy mojej, przyrodniczej metody.

Porad udzielam bezpłatnie, jedynie za zwrotem kosztów. Znaczek na odpowiedź załączyć.

Ludwik St. Unsing, przyrodnik, poczta Janczyn dwór Błotnia

Małop. Wschodnia.

Aleksander Wnękowski

Introligatornia

Kraków, ul. św. Sebastjana L. 11.

oprawia książki pojedynczo i w większych nakładach, wykonuje starannie, po cenach niskich.

Wyszły z druku dwa zbiorki poezyj Donata Lesiowskiego p. t.

„PŁOMYKI“ i „ISKIERKI“

Cena zbiorku 50 groszy. Do nabycia w Adminisr. Roli

Okładki na „Rolę“

na r. 1928 są gotowe po nadesłaniu 2 zł. 20 gr. wysyłamy.

Najładniejsze i najciekawsze

Bajeczki i wierszyki dla dzieci

z pięknemi kolorowemi obrazkami.

1) **My się chcemy bawić!** wierszyki i powiastki dla grzecznych dzieci.
2) **Historyjki o Kizi mizi** i innych ulubionych zwierzątkach.
3) **Świat Lalek** najpiękniejszy upominek dla grzecznych chłopczyków i dobrych dziewczątek.
4) **Jak tu wesoło** skarb powiastek i bajeczek dla najgrzeczniejszych dziateczek.
5) **Mali majstrowie** skarb wierszyków i bajeczek.
6) **Ostrożnie!... Bo strzelam!...** najpiękniejsze bajeczki i wierszyki dla dobrych dzieci.

Cena każdej książeczki wykonanej w kolorach na dobrym grubym papierze wysyła za nadesłaniem Zł. 1.20, wszystkie 6 książeczek razem za Zł. 6.—.

Wydawnictwo „SENSACJA“, Kraków, Zielona 7. I. p.

„Wyrób win w domu“

(z żyta, wszystkich owoców i miodu) podręcznik wysyłam po otrzymaniu znaczkami pocztowymi 30 gr., koszta wyrobu 1 litra doskonałego wina 60 groszy.

Inż. L. Spiss, Kraków, ul. Sławkowska L. 11.

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli“ za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.